Nr. 9. Wrzesień 1903 Rok XXIII.



MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY
ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

KRAKÓW
Z DRUKARNI WŁADYSŁAWA TEODORCZUKA i SKI.

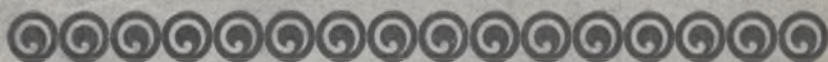
Warunki prenumeraty:

Rocznie: 5 fr. – 4 sh. – 4 m. – 2 złr. 40 ct. (w kopercie 4 złr.) – 1 dol. – 10 milreisów.

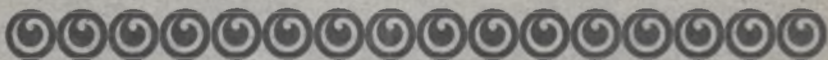
Nr. pojedyńczy 45 centim. – 4 d. – 35 fen. – 20 ct. austr. – 10 ct. amer. – 900 reisów.

ADRES REDAKCYI i ADMINISTRACYI PRZEDŚWITU

OD 1 LIPCA ZMIENIONY.



Kraków ul. Pędzichów l. 15 I. Piętro (w oficynie).



Nr. 9 Wrzesień 1903 Rok XXIII.

PRZEDŚWIT

„Iskra“ o kwestyi polskiej.

W N-rze 3 „Przedświtu“ omówiliśmy ostatnie enuncyacye niektórych organów rosyjskiego socyalizmu w sprawie polskiej. Szczególną uwagę poświęciliśmy „Iskrze“ i przy tej okazyi musieliśmy skonstatować, iż „Iskra“ wyjaśniła nareszcie, co rozumie pod hasłem „samoopredielenja“ (prawa stanowienia o swoim losie). Widać jednak, że „Iskrze“ wydawało się, iż kropki nad *i* nie były przez nią dość jeszcze wyraźnie postawione, zabrała się więc do dzieła tego powtórnie i w N. 44 znowu rozwiodła się o „Kwestyi narodowej w naszym programie.“ Ton artykułu coprawda jeszcze w niejednem miejscu odbiega od „dobitności“ zwykłej w „Iskrze“ — a nieraz cieszącej się tak wątpliwem wśród rosyjskich towarzyszy powodzeniem; „Iskra“ nieraz chodzi około kwestyi polskiej, jak — podług niemieckiego przysłowia — „kot naokoło gorącej zupy;“ a na dobitkę w najważniejszych ustępach wyręcza się Kautsky'm a zwłaszcza Mehringiem, zamiast mówić własnemi słowami. Ale swoją drogą artykuł dość jest wyraźny i dość znamienny dla ewolucyi, którą od 1896 już roku dostrzegamy wśród tak zwanych „plechanowców“ (zwolenników Plechanowa), by warto było o nim tutaj pomówić obszerniej. Kropki nad *i* stają się coraz wyraźniejsze...

Przedewszystkiem „Iskra“ zapewnia nas, iż chce żądanie prawa „samoopredielenja“ podporządkowywać interesom klasowej walki proletaryatu. Zapewnienie to powtarza się do znudzenia w całym artykule, ale popierwsze, nie dowiadujemy się, na czem to podporządkowanie w danym wypadku ma polegać; możemy tylko pośrednio wywnioskować, iż jest ono równoznacznem w danym wypadku z podporządkowaniem Polskiej Partyi Socyalistycznej pod „Rossijskuju Socyałdiemokraticzeskuju Raboczuju Partiju“, quod — naturalnie dla „Iskry“ — erat demonstrandum. Powtóre i przeciwko samej tej formułce „podporządkowania“ można mieć też pewne zarzuty. Istotnie sam wyraz „podporządkowania“ pachnie dziwnym w „monistycznej“ „Iskrze“ dualizmem, pachnie rozdwojeniem istoty proletaryusza. Z jednej strony — dajmy na to Polak — z drugiej — robotnik, dwa wrogie lub przynajmniej sprzeczne elementy w jednej istocie proletaryusza, i oto — dzięki malowniczemu spo-

sobowi wyrażania się „Iskry“, – przed oczyma naszemi staje walka tych „dwóch“ żywiołów, walka, którą dopiero „Iskra“ rozstrzyga swoją interwencyą: przychodzi i „podporządkowuje“. Zasługa byłaby może wielka, gdyby sama walka rzekomo skłóconych żywiołów nie była dowolną konstrukcyą ideologiczną tej samej—materyalistycznej – „Iskry“. W rzeczywistości walki niema: robotnik polski jest istotą jednolitą: jego narodowość i jego klasowość są dwiema stronami jego istoty bynajmniej nie sprzecznemi, a zatem bynajmniej nie potrzebującemi się zwalczać i „podporządkowywać“ (albo mówiąc jeszcze dobitniej – językiem zdobywców – „podczyniat'“). Oba te czynniki oddziaływują na siebie poprostu w taki sposób, że robotnik polski żąda „Polski robotniczej“, tak samo jak narodowo-demokratyczny „inteligent“ wzdycha do państwa z polską biurokracyą i t. d. Jeśli zaś „Iskra“ nie wie, co znaczy ta kombinacya dwóch wyrazów „Polska robotnicza“, to niech weźmie nasz program do ręki. Dowie się, że jedną z najkardynalniejszych zasad tej „Polski robotniczej“ jest „stopniowe uspołecznienie ziemi i narzędzi produkcyi.“

Takim jest nasz program. Nie przeszkadza to jednak „Iskrze“ ubolewać nad tem, jak „słaby jest w naszej (P.P.S.) teoretycznej świadomości (sic!) i działalności politycznej związek z klasową walką proletaryatu“. Nie przeszkadza to jej również – w innym ustępie tego samego artykułu – zarzucać nam „zapominanie o klasowym punkcie widzenia“. A przecie socyaliści rosyjscy powinni by – przynajmniej tak dobrze, jak żandarmi rosyjscy – wiedzieć o tem, iż nikt inny, jak właśnie P.P.S., od 10 lat kieruje walką klasową z wyzyskiwaczami wszelkich narodowości na obszarze ziem polskich i z całym klasowym – nie mniej jak z narodowym – uciskiem, reprezentowanym przez rząd moskiewski. Należałoby też „Iskrze“, gdy pisze o sprawach polskich, dowiedzieć się, że hasło niepodległości narodowej stało się w naszych rękach doskonałym „odczynnikiem klasowym“, że sposób, w jaki je głosimy, wykopał między nami a patryotami z klas uprzywilejowanych nieprzebytą przepaść, że za te hasła właśnie jesteśmy — czasem wprost ze zdumiewającą zajadłością – zwalczani przez naszych narodowych demokratów, którzy – że powiemy językiem bardziej dla „Iskry“ zrozumiałym – stanowią dziś właściwą reprezentacyę polskiego „obszczestwa“. Gdyby „Iskra“ o tem wszystkiem wiedziała i pamiętała, to chyba zaoszczędziłaby sobie śmiesznych quasi-klasowych pod naszym adresem morałów, morałów tem śmieszniejszych, że głoszą je ci, którzy do dziś liczą na opozycyę „liberalnego“ rosyjskiego „obszczestwa“*).

*) Kto chce w całej pełni rozkoszować się mimowolnym komizmem tej sytuacyi, niech sięgnie do wydawnictw „plechanowców“, np. chociażby

Niepotrzebnie też „Iskra“ rozwodzi się nad wypadkami historycznymi, w których burżuazya dla swych interesów klasowych, a raczej z powodu właściwego tej klasie tchórzostwa zdradzała interesy narodowe. Nam wypadki takie są aż nadto dobrze znane z własnych naszych dziejów. I właśnie dlatego z tem większą energią podkreślamy nasze — proletaryackie — hasła narodowe, pewni, że żadnej sprzeczności między prawdziwymi interesami narodu a rzeczywistymi interesami klasowymi proletaryatu być nie może, i że tchórzostwo nie może być wadą tych, co nic „oprócz kajdan“ do stracenia nie mają.

Wróćmy jednak do owego „podporządkowania“. „Iskra“ może by zrozumiała, jak nieudatnem jest to wyrażenie się, gdyby ktoś chciał mówić o „podporządkowaniu“ interesom walki klasowej — dążenia do wolności politycznej. Rzecz w tem, że wolność polityczna — chociaż niezbędna dla obrony ekonomicznych interesów proletaryatu — jest już sama przez się niezbędną dla proletaryatu, jako części nowożytnej cywilizowanej ludzkości. To samo tyczy się i swobody rozwoju narodo-

---

do artykułu J. Plechanowa „Czto że dalsze?“ w Nrze 2–3 „Zari“. Dowie się tam z rozdziału VII (str. 23–25) np. że „Poparcie ze strony „obszczestwa“ przyśpieszy wzrost i zbliży zwycięstwo rewolucyjnej potęgi „narodu“ (co — nawiasowo mówiąc — wyrażone jest językiem bardzo „klasowym“ — nieprawdaż?). Dalej, dowie się, że „plechanowcy“ mają w swym „naukowym“ arsenale argumenty dwojakiego gatunku: dla klasy robotniczej: „cel ostateczny: rewolucyę socyalną, całkowite zniesienie wyzysku pracujących“; dla „obszczestwa“: argument uspokajający: „zwycięstwo socyalizmu nie może być jednoczesnem z upadkiem absolutyzmu“ i fakt, że „interesy socyalnych demokratów w obecnym czasie identyczne są z interesami wolnomyślnej części rosyjskiego obszczestwa“. Czytelnik „Zari“ dowie się także, że chociaż „siła (plechanowców) jest siłą pracującej i wyzyskiwanej masy, a przedewszystkiem — proletaryatu“, to jednak gdyby plechanowcy „przekształcili się w złagodzonych i uszlachetnionych burżujów podług ostatniej mody“, to smutna ta ewentualność nie zmiotłaby ich grupy z oblicza ziemi, a tylko „znakomicie zmniejszyłaby (znaczytielno podorwała) ich siłę.“ No — nie taki swoją drogą dyabeł straszny, jak sam siebie maluje! Wystarczy uśmiać się nad powyższemi cytatami, nie potrzebujemy brać ich na seryo. Cały bowiem ten „machiawelizm“, cała ta z naiwną otwartością publicznie drukowana podwójna buchalterya i dyplomacya jest tylko objawem specyficznej naukowości „Iskry“.

I czytając te rozczulające swą troskliwością o spokój „obszczestwa“ apostrofy „Zari“ — te wypierania się dążeń do „zwycięstwa socyalizmu“ — mimowoli przypomina się jedna z dykteryjek ś. p. Chirurga Filozofii: Gdy Napoleon I zbliżał się w 1812 roku do Swarzędza, miejscowi Żydzi postanowili wysłać na jego spotkanie delegacyę. Dla uczczenia wielkiego wojownika, delegacya przybrała możliwie najbardziej marsowe ubiory... tureckie. Nie chciała jednak sprawić Bonapartemu zbyt już silnej emocyi, więc też zaczęła swe przemówienie uspokajającemi słowami: Niech się Wasza Cesarska Mość nie lęka: my nie jesteśmy żadne Turki, a tylko żydki swarzędzkie!“ Poco Plechanow przebiera się, jeśli nie za Turka, to za — żydka swarzędzkiego?

wego, Zapominanie o tem, mierzenie wartości swobody jedynie z punktu widzenia chwilowych interesów ekonomicznych („klasowych“) może być właściwością klas upadających, przeżywających się; w klasach jednak, do których przyszłość należy, jest ono cechą tylko... doktrynerów, fanatyków frazesu, którzy w zapale „dyalektycznym“ tworzą sobie sprzeczności tam, gdzie ich niema wcale, i dają poraz Bóg wie który widowisko takich „marksistów“, do jakich Marks zaliczanym być nie chciał.

Do takich „marksistów“, niestety, należy autor artykułu „Iskry“, chcący dosłownie „podporządkowywać“ żądanie prawa narodów do stanowienia o sobie interesom walki klasowej. Do takich marksistów jednak nie należy znany zwolennik niepodległości Polski — Kautsky, którym nasz przyjaciel z „Iskry“ chce się sprytnie w zjadaniu P.P.S. posługiwać. Istotnie Kautsky mówi w cytowanym przez „Iskrę“ ustępie nie o prawie narodów do stanowienia o sobie, lecz o narodowej niepodległości (t. j. o odrębności narodowo-państwowej) i mówi, że „nie jest ona tak nierozerwalnie połączona z klasowymi interesami walczącego proletaryatu, by należało dążyć do niej bezwarunkowo bez względu na okoliczności. By wyjaśnić swą myśl, Kautsky powołuje się na przykład Marksa, który w 1859 r.... zwalczał sojusz Włoch z Napoleonem.

Otóż nader łatwo można sobie wyobrazić „okoliczności“, w których nietylko niepożądanymi będą pewne określone sojusze np. Włoch dla np. niemieckiego socyalisty (jakim Marks przy swych szczerych uczuciach międzynarodowych słusznie nigdy być nie przestawał), ale i dla włoskiego socyalisty; można sobie wyobrażać okoliczności, w których dążenie do odrębnego państwa narodowego jest niepożądanem, bo zbytecznem, a więc eo ipso napewno szkodliwem, i to nietylko dla socyalizmu, proletaryatu i t. p., lecz poprostu i dla rozwoju danej narodowości jako takiej. Ale nigdy wykonstruować sobie nie można okoliczności, w których samo prawo do rozporządzania sobą będzie w sprzeczności z klasowemi dążeniami proletaryatu. Kautsky tej sprzeczności nie przypuszcza. Autor z „Iskry“ mówi o niej zupełnie seryo. W innych miejscach swego artykułu poprawia się i trafnie odróżnia obowiązkową dla każdego socyalisty obronę wszelkiej swobody, a więc i swobody narodowej od bynajmniej nie obowiązkowego popierania tego lub owego określonego sposobu korzystania z tej swobody. Że w jednem miejscu tak się zagalopował, to jednak nie jest zwykłym „lapsus calami“; charakteryzuje to ogólną chwiejność poglądów autora na całą tę kwestyę.

Tak oto dalej „Iskra“ z lubością cytuje mętne wywody publicysty partyi niemieckiej Mehringa, których główny sens zawiera się w zdaniu: „polscy robotnicy we wszystkich trzech zaborach powinni walczyć ramię do ramienia ze swymi towarzyszami klasowymi (zaborczych narodowości) bez żadnych myśli ukrytych“ (to jest — bez żadnych myśli o niepodległej Polsce!). Po zacytowaniu takiego kwiatka „Iskra“ dodaje: „Najzupełniej podpisujemy się pod takim wnioskiem Mehringa“, śpieszy jednak — na wszelki wypadek — zastrzedz się, że wniosek ten będzie słusznym, „jeżeli nawet nie posuniemy się w argumentacyi tak daleko, jak Mehring“. Musimy sami zgadywać, jak daleko zechce się „Iskra“ posunąć, a zadanie to pisarz „Iskry“ jakby świadomie nam utrudnia, bo zaraz w dalszym ciągu zapewnia, iż jej („Iskry“) program bynajmniej nie wyklucza tego, aby proletaryat polski głosił hasło wolnej niepodległej Polski!

Przyjrzyjmy się jednak innym wywodom Mehringa, pod którymi — jak powiedzieliśmy — „Iskra“ podpisuje się „najzupełniej“. Mehring badał historyę polską, odrzucając (sam to wyznaje) tak stronne i bałamutne źródła, jak Lelewel, Mierosławski, Mochnacki i t. d., którzy w błąd wprowadzili Marksa, a za to posiłkując się rękopisem tak niesłychanie wytrawnej znawczyni dziejów Polski, jak młoda jego (Mehringa) przyjaciółka, Dr. Róża Luksemburg. Wystarczyłoby to dla scharakteryzowania głębokości i bezstronności badań Mehringa. Ale coprawda dla wniosków jego właściwie żadnych badań historycznych lub jakichkolwiek innych nie potrzeba było. Twierdzi on: „Jeśliby polski proletaryat chciał wypisać na swym sztandarze odbudowanie polskiego państwa klasowego, o którem nawet słuchać nie chcą polskie klasy panujące, to odegrałby farsę dziejową... Jeśli zaś ta reakcyjna utopia wywleka się na światło dzienne na to, by dla agitacyi proletaryackiej zjednać te warstwy inteligencyi i drobnej burżuazyi, wśród której znajduje jeszcze pewien odgłos agitacya narodowa, wówczas utopia ta zasługuje na podwójne potępienie, jako objaw owego mizernego oportunizmu, który na ołtarzu marnych i lichych powodzeń chwilowych składa w ofierze istotne interesy klasy pracującej.“ Czy nie rzuca się w oczy każdemu czytelnikowi — zwłaszcza pamiętającemu wyżej cytowany artykuł „Zari“ — iż bombastyczne frazesy Mehringa nic by nie straciły ani nie zyskały na trafności, gdybyśmy zamiast „polski“ postawili wyraz „rosyjski“, a zamiast odbudowanie polskiego państwa klasowego, powiedzieli „zbudowanie klasowej monarchii konstytucyjnej“ czy tam — podług najnowszej, niezbyt jeszcze utartej terminologii — „klasowej republiki rosyjskiej“.

Pozostawiamy „Iskrze“ załatwienie się z tak poprawioną edycyą Mehringowskiej elokwencyi. Myśmy już ze swej strony

powiedzieli w N-rze 3 Przedświtu, co myślimy o ewentualnych skutkach dla proletaryatu „klasowego państwa polskiego“, państwa, N.B. republikańskiego i demokratycznego. Tu dodatkowo przypomnimy już nie „Iskrze“, bo ją to w gruncie rzeczy dyablo mało powinno obchodzić – ale polskim czytelnikom naszym, iż popierwsze nasze „klasy panujące“ napewno tak jeszcze nie upadły moralnie, by „nie chciały słuchać o niepodległości“; podrugie, że wystawianie jakichkolwiek haseł przez jakąkolwiek partyę dla brania poprostu na lep jakiejkolwiek „warstwy społecznej“, a tembardziej warstwy bądź co bądź wykształconej, byłoby objawem nie jakiegoś strasznie machiawelicznego „oportunizmu“, a zwykłej, dziecinnej naiwności (samo przypuszczenie takie dostatecznie charakteryzuje dziewiczą naiwność Mehringa, jako polityka!); potrzecie, że P.P.S. nigdy nie „wypisywała na swym sztandarze odbudowania polskiego państwa klasowego“. I z tego ostatniego powodu i my możemy „najzupełniej podpisać się“ pod końcowym przynajmniej frazesem „Iskrowej“ cytaty z Mehringa: „Minęły już te czasy, gdy rewolucya burżuazyjna mogła zbudować wolną Polskę; obecnie odrodzenie Polski możliwe jest tylko za pomocą rewolucyi socyalistycznej, gdy współczesny proletaryat skruszy swe kajdany.“

I my bowiem nie liczymy na żadne rewolucye burżuazyjne; i my oczekujemy odrodzenia Polski tylko od rewolucyi proletaryackiej, kierowanej przez partyę socyalistyczną. Co więcej, nie chcemy oglądać się nawet na „współczesny proletaryat“ innych narodów. Niedlatego, żebyśmy – broń Boże! – lekceważyli doniosłe znaczenie jednoczesności wybuchu rewolucyjnego w różnych krajach. Jeśli nasze powstanie nastąpi po wybuchu rewolucyi np. w Niemczech lub w Rosyi, tem lepiej dla nas. I tem lepiej nietylko dlatego, że wrogie nam rządy będą miały dość do roboty u siebie w domu, lecz również i dlatego, że chwila rewolucyjna napewno tak wyszlachetni wszystkich walczących, iż w powodzi ludowej jak brudne pyłki utoną wszelkie w rodzaju „Iskrowych“ doktrynki, podszyte szowinizmem, a proletaryat polski odrazu stanie w bratnich szeregach Międzynarodówki, jako „wolny z wolnym i równy z równym“. Ale czyż nadzieje na taki przebieg wypadków dziejowych byłyby dziś najpożywniejszą karmią duchową dla nas? Dziś, gdy w Niemczech mamy do czynienia z prądem socyalhakatystycznym; w Rosyi – z „Iskrą“; gdy w Danii widzimy burmistrza socyalistycznego w pałacu królewskim flirtującego z Wilhelmem II; gdy przedstawiciele Niemiec, Holandyi i Danii w Międzynarodowem Biurze Socyalistycznem odmawiają wyrazów uznania włoskim deputowanym socyalistycznym za zapowiedź kontrdemonstracyi przeciwko wizycie Mikołaja II w Kwirynale; dziś, gdy taki Jaurès łudzi się na-

dziejami na wspaniałe skutki zainicyowanej przez cara Mikołaja II konferencyi haskiej? Czyż dziś każdemu z nas nie przypominają się słowa Mickiewicza o walce nieubłaganej, która czeka rewolucyonistę polskiego nawet wtedy, gdy

„...w pokoju zakwitnie świat cały.
Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania...“?

Nie, doprawdy, zwłaszcza dziś — nie porzucając zresztą nadziei na najlepszą ewentualność, należy nam — w myśl maksymy Robinsona Crusoe'go — być przygotowanym na „najgorsze“, i — oswajać się z myślą, że czeka nas — może nienajwygodniejsza, ale najzaszczytniejsza rola inicyatorów rewolucyi międzynarodowej. I dziś już wiemy, że przed nami, przed polskim proletaryatem leżą zadania szersze, niż przed proletaryatem jakiejkolwiek innej narodowości; ciężą na nas obowiązki cięższe, ale świadomość tych obowiązków może tylko podwajać nasze wytężenia, nasze siły i naszą energię rewolucyjną. Inicyatywy, bodźca — nie będziemy czekali od nikogo, skoro sami poczujemy się na siłach.

Nie dość tego, bo zmuszeni, bardziej niż kto inny, do trzeźwego spojrzenia w oczy rzeczywistości, do rozejrzenia się w konkretnych widokach, jakie mają przed sobą partye socyalistyczne, wiemy, że celem i wynikiem naszych robót partyjnych na całym świecie nie może być jakaś mglista, nieuchwytna „rewolucya socyalna“, jakiś ogólny „Kladderadatsch“, jakiś „zmierzch bogów“, w którym wszystkie koty staną się szare, granice i narody znikną i t. d. i. t. d., lecz — po prostu — rewolucya socyalistyczna, uwieńczona narodzinami szeregu nowych, młodych republik socyalistycznych.

W szeregu tych republik słuszne miejsce należy się republice polskiej, która da narodowi naszemu nietylko niepodległość, lecz i zjednoczenie. I dlatego ani na chwilę nie zapominając o potrzebie solidaryzowania się z proletaryatem państw zaborczych (oby ten proletaryat tylko nie utrudniał nam zadania przez aroganckie postępowanie swych partyj politycznych!), nie zapominając o tem, musimy przedewszystkiem pamiętać o solidarności trójzaborowej proletaryatu polskiego.

Chyba jednak z tego właśnie faktu czerpie „Iskra“ asumpt do swych przeciwko nam oskarżeń o „naruszanie jedności współczesnej walki politycznej proletaryatu“. Chyba z tego, powtarzamy, bo przecież nie może ją gniewać, gdy np. w jednoczesnych na całym obszarze państwa carów demonstracyach majowych Warszawa wywiesza dla siebie sztandar republiki polskiej, gdy Moskwa domaga się konstytucyi, czy też nawet republiki rosyjskiej. Przecież ten „rozdźwięk“, jeśli to jest rozdźwiękiem, nie osłabia efektu... Nie osłabi walki z caratem i możliwość jakiejś specyalnej dodatkowej demonstracyi war-

szawskiej — chociażby np. w rocznicę powstania, jakkolwiek naturalnie można byłoby sobie życzyć, aby i Moskwa proletaryacka tego samego dnia odpowiednią demonstracyą zaprotestowała przeciwko zbrodniom caratu na Polsce. Tak samo zresztą można sobie życzyć i szczerze sobie tego życzymy, aby się stały możliwemi wogóle wszelkie demonstracye jednoczesne na całym obszarze caratu, urządzane na rozkaz z jednego centrum, ale wiemy, że dotąd Moskwa nawet z jakąś Tułą nie mogą wykonać takiej akcyi skoordynowanej. Cóż więc dopiero mówić o koordynowaniu Moskwy z Warszawą?

Rozwiedliśmy się o demonstracyach, boć przecie to jedyny dotąd rodzaj szerszej akcyi, stosowanej przez „Iskrowców". Ale to samo będzie słusznem i dla przyszłego powstania. Fakt separatystycznych państwowych dążeń polskiego powstania proletaryackiego nie może osłabić rozpędu ewentualnej jednoczesnej rosyjskiej rewolucyi proletaryackiej, jeżeli ta istotnie będzie proletaryacką, i jeżeli „Iskra" czy tam przyszłe organy rosyjskiego socyalizmu wykonają swój obowiązek względem ujarzmionego proletaryatu i narodu polskiego inaczej, niż go dotąd wykonywują. A może „Iskra" razem z „Zarią" łudzi się nadziejami nie na proletaryacką rewolucyę, może „Iskra" chce „zjednać" lub nie zrażać, mówiąc z Mehringiem, „dla swojej agitacyi proletaryackiej... te warstwy inteligencyi i drobnej burżuazyi, wśród której znajduje jeszcze pewien (i jak silny jeszcze!) odgłos agitacya narodowa" ...sukcesorów Katkowa? Wolimy tego nie przypuszczać, bo znowu — razem z Mehringiem — musielibyśmy to „podwójnie napiętnować, jako objaw"... i t. d., jak wyżej.

Uszczkniemy tu jeszcze parę kwiatków z artykułu „Iskry". P.P.S. — zdaniem tego pisma — „demoralizuje świadomość proletaryacką" i „nie jest prawdziwą socyalno-demokratyczną partyą robotniczą." No — to frazesy, coprawda, bardzo silne, ale za to — jako broń polemiczna — mocno stępione. Nie pamiętamy bowiem wypadku najbłahszej bodaj różnicy w poglądach z „Iskrą", w którymby „Iskra" nie zastosowała takiego „argumentu". I to nietylko w polemice ze znienawidzonymi przez nią socyalistami-rewolucyonistami, lecz i przeciwko innym grupom tej samej, co „Iskra" firmy „Rossijskoj Socjałdiemokraticzeskoj Raboczej Partji". Idźmy jednak dalej. Dowiemy się z „Iskry", że P.P.S. „zwodzi proletaryat frazesami burżuazyjno-demokratycznymi..." Dla P.P.S. „kwestya narodowa wyczerpuje się przeciwstawieniem „my" (Polacy) a „oni" (Rosyanie)." „Iskra" natomiast (zapewne też w kwestyi narodowej?) „wysuwa na pierwszy plan sprzeczność między proletaryatem a burżuazyą" (która dla P.P.S. oczywista nie istnieje). „Rozbicie Rosyi..." pozostanie pustym frazesem, dopóki ekonomiczny rozwój będzie coraz silniej łączył różne części jednej

całości politycznej (t. j. państwa carów), dopóki burżuazya wszystkich krajów będzie coraz zgodniej łączyła się przeciwko wspólnemu wrogowi — proletaryatowi, a w obronie wspólnego sojusznika: cara". Nad tą ostatnią sentencyą „Iskry" warto zastanowić się bliżej. „Iskra" tu, popierwsze, powtarza za panią matką Luksemburg oklepaną historyjkę o „rynkach wschodnich", bez których przemysł polski jest niemożliwym, i dla których burżuazya polska umiłowała carat. Historyjka cokolwiek przestarzała i niejednokrotnie zbijana przez badaczy ekonomicznych. Ale — habeant sibi! — niech pani Luksemburg (a z nią „Iskra") cieszy się „solidarnością uczuć" z fabrykantami łódzkimi. Gdyby historyjka ta była nawet prawdziwą, to i wtedy rozumowanie „Iskry" w języku prawdziwie rewolucyjnej i socyalistycznej partyi powinno by brzmieć: „Rozbicie Rosyi... pozostanie pustym frazesem, dopóki rzekoma czy prawdziwa czułość burżuazyi polskiej dla caratu udzielać się będzie i proletaryatowi polskiemu." Otóż — niech nam „Iskra" wierzy — czułość ta nietylko dziś, ale i nigdy nie udzielała się polskiemu proletaryatowi miejskiemu, a w bliskiej przyszłości i chłop polski aż nadto wyraźnie powie, że tych uczuć nie podziela! Co zaś do drugiej części sentencyi „Iskry", to doprawdy trudno nam zrozumieć, w jakim celu „Iskra" do swej argumentacyi wprowadziła burżuazyę aż wszystkich krajów. Czy chciała powiedzieć, że burżuazya wszystkich krajów — nietylko polska — wzdycha do „organicznego wcielenia się" do caratu? Byłaby to malutka przesada, i w dodatku — ciekawiśmy, co by nawet Mehring powiedział na taki objaw „ewolucyi dziejowej"? Czy też radziłby swym towarzyszom „zaniechania wszelkich myśli ukrytych" dla przyjemności dostania się do „ścisłej" kompanii z „plechanowcami"? Ale może „Iskra" myśli o czem innem, może „Iskra" myśli, że burżuazya wszystkich krajów pośpieszyłaby na pomoc Rosyi przeciwko Polsce? I to naturalnie — co najmniej przesada. Jeśli zaś chodzi o pomoc, jaką car dostaje od bankierów całego świata, to — niestety — pomoc ta — i pomoc policyi międzynarodowej — istnieje już i dziś, a ostrza jej odczuwa boleśnie nietylko Polska robotnicza, lecz i sama kompania „Iskrowców". Czy z obawy przed tą przemocą „Iskra" ma zamiar sama założyć ręce bezczynnie i pozbyć się swych własnych „myśli ukrytych"?

„Iskra" mówi o warunkach, pod którymi gotowa jest uznać, czy tam uznaje nasze prawo stanowienia o swoim losie. Ma się rozumieć, takie uwarunkowane uznanie elementarnego prawa mogłoby nas tylko zaniepokoić. Na szczęście „Iskra" w innem miejscu daje nam do zrozumienia, że w razie, gdybyśmy ze swego tak obwarowanego prawa zechcieli zrobić użytek nierozsądny, to jednak „Iskra" nie będzie z nami walczyła „za pomocą środków policyjnych". Odetchnę-

liśmy lżej!... I będąc z racyi tej ulgi na sercu w dobrym humorze, chętnie ze swej strony uspokoimy „Iskrę“, że „czułość“ nasza dla federalizmu socyalistów-rewolucyonistów, o której „Iskra“ mówi, jest poprostu jej przywidzeniem. U socyalistów-rewolucyonistów cenimy znacznie przyzwoitszy ton względem podbitych narodów, niż u „Iskry“. Ale w tym wypadku „ton ne fait pas la chanson“, a jak słusznie zauważył na pewnym mityngu londyńskim socyalista-rewolucyonista tow. Aladin, i ta partya rosyjska „nie wypowiedziała się jeszcze wyraźnie w kwestyi polskiej.“

My zaś do federacyi z caratem nie wzdychamy. Gdybyśmy mieli „federować się“ z jakiemś państwem zaborczem (federacya pod batem – jedyne w dziejach widowisko!), to juścić wybralibyśmy najprędzej Austryę, a wolelibyśmy nawet Niemcy, bo doprawdy – pomimo wszystkiego – niech „Iskra“ wybaczy, ale mamy więcej zaufania do swobodnego rozwoju Niemiec, niż Rosyi! Skłania nas do tego pomiędzy innemi historya stosunków demokracyi niemieckiej a rosyjskiej do kwestyi polskiej.

Niezbyt odbiegniemy od przedmiotu, gdy i tej sprawie poświęcimy parę słów omówienia.

„Iskra“ sama dość dobrze przedstawiła historyę stosunku dawnej demokracyi europejskiej, a zwłaszcza niemieckiej do kwestyi polskiej. Obawa przed caratem, chęć stworzenia między Rosyą a Europą „państwa buforowego“, wreszcie szacunek dla rewolucyjnej działalności dawnych patryotów polskich – grały tu istotnie przeważną rolę. A obawa owa była tak silną, sprawa rewolucyi, a więc niebezpieczeństwo rosyjskie dla niej były tak konkretne, rozpęd wreszcie energii rewolucyjnej był tak potężny i wznosił ówczesnych demokratów niemieckich na takie wyżyny zapału, iż nie wahali się ani na chwilę przed największemi ofiarami dla sprawy polskiej. Dość przypomnieć, że Marks pertraktował o legiony dla Polski z księciem brunświckim i nie cofał się przed perspektywą herbów tego księcia na sztandarach legionu. A już, ma się rozumieć, nikomu nie przychodziło do głowy żądać od polskich demokratów „zrzeczenia się ukrytych myśli“ dla wstąpienia do ogólno-niemieckiej demokracyi... Czasy się zmieniły... Jakiekolwiek jest dziś „napięcie sił proletaryackich w wilię rewolucyi“ – partya socyalistyczna wszędzie, a między innemi w Niemczech – po prostu odpycha od siebie myśl o „jutrze“ rewolucyjnem. Roboty jest aż nadto na „dziś“, na ową „wilię“ „Iskrową“. I właściwie – Bogiem a prawdą – niewiadomo, kiedy to „jutro“ nastąpi... Czy nie lepiej wobec tego nie bawić się w fantazyowanie o konkretnej postaci tego „jutra“? czy nie lepiej wyobrażać je sobie pod postacią mglistego „kataklizmu“, lub nawet zupełnie je negować („teorya katastrof“ i jej przeciwnicy)? a już wszak bezwarunkowo przyjemniej jest nie wdawać się w rozmyślanie

o potędze północnego „Väterchen“; jeśli zaś, pomimo tego, myśl o nim przyjdzie nieproszona, to czyż nie lepiej uspokoić się nadzieją na własne jego niesforne dzieci? Co innego z aspiracyami Polaków: ten naród niespokojny nie może być szczęśliwym bez całkiem już konkretnej rewolucyi, „rewolucyi wideł i cepów“, rewolucyi ...całkiem nienaukowej i to w samym środku Europy. Zapomnijmy o nim i starajmy się, by i on w naszych tryumfach wyborczych znalazł zupełne ukojenie...

Oto logika — oczywista, nam nie trafiająca do przekonania, ale przynajmniej dająca się wytłomaczyć.

Takie „nieświadome rozumowanie“ każe nawet Kautsky'emu widzieć u proletaryatu rosyjskiego już dziś większy wpływ na sprawy polityczne kraju, niż u angielskiego! Oczywista, mówimy tu o „rozumowaniu nieświadomem“, gdzie mimowiednie „Wunsch ist der Vater des Gedankens.“

Nie dość jednak, że da się to wytłómaczyć, bo — oprócz tego — niemiecka demokracya socyalna ma za sobą już i rewolucyę 1848-go i 3 miliony wyborców. To pozwala nam zrozumieć, choć nie uniewinnić — spotykane u niektórych towarzyszów niemieckich (zresztą, bynajmniej np. nie u Kautsky'ego) bagatelizowanie spraw polskich i próby rozszerzenia bezwarunkowego kierownictwa „Parteivorstandu“ na ziemie polskie, na socyalistów polskich.

Cóż jednak mamy powiedzieć o „plechanowcach“ rosyjskich, którzy żadnej rewolucyi nie przebyli, nietylko 3 milionów wyborców, ale i parlamentu wogóle nie mają, a już robią nam wyrzuty z rzekomego „łamania jedności“, od której we własnych szeregach, niestety, tak są jeszcze dalecy. Źle by wróżyło o dalszych losach wolności rosyjskiej, gdyby taki kierunek miał się ustalić.

Streśćmy się.

„Iskra“ słusznie twierdzi, iż socyalistów — mówiąc wogóle — obowiązuje tylko uznanie prawa każdego narodu do rozporządzania sobą i obrona przed przemocą, naruszającą to prawo, bynajmniej zaś nie jest naszym obowiązkiem popierać lub nawet tylko sympatyzować z każdym absolutnie sposobem korzystania z tego prawa. Tak np. wątpić możemy, by oddzielenie się Irlandyi od Anglii było dla samej Irlandyi czemś choć trochę pożyteczniejszem od autonomii, której widoki na urzeczywistnienie się dziś są już bardzo dobre. Ale „Iskra“ zapomina, że skoro jakieś konkretne żądanie narodowe zostało przyjęte za swoje przez partyę socyalistyczną danego narodu, to już obowiązki solidarności międzynarodowej nakazują umilknąć krytyce innych partyj socyalistycznych *). A już nietylko względy takiej solidarności,

*) Naturalnie mówimy tu o żądaniach narodowych prawdziwej narodowości współczesnej w całem tego słowa znaczeniu. I oczywista, mó-

lecz prosta przyzwoitość i wzgląd na potrzebę zwalczania popędów szowinistyczno-zaborczych we własnym narodzie — każe socyalistycznej partyi narodu zaborczego jak najgoręcej popierać takie żądania. Dlatego też — że weźmiemy ten sam przykład — angielska Socyalno-Demokratyczna Federacya bez żadnych zastrzeżeń i ze szczerym zapałem popiera separatystyczne dążenia Irlandzkiej Republikańskiej Partyi Socyalistycznej, aczkolwiek członkowie tej ostatniej bynajmniej nie tają się z tem, iż jedynem źródłem ich separatyzmu jest pamięć na krzywdy, doznane od anglików w dość dawnej już przeszłości dziejowej.

Nie dość tego. Mówiąc o „prawach“ narodów, powinniśmy — jak to słusznie „Iskra“ przyświadcza Marksowi — unikać ogólnikowych (burżuazyjno-demokratycznych) frazesów, bez wszelkiej analizy historycznej. A tymczasem „Iskra“ częstuje nas ogólnikowymi frazesami o „równości języków, narodowości i t. d“. (pyszne jest to „i tak dalej“!) i pozwala nam w ten sposób tuszyć sobie nadzieje na zupełną równość praw narodowych Polaków z Tunguzami, Mordwą, Czeremisami i t. p. „interessante Völkerschaften“, „obszyrnawo naszewo otieczestwa.“ Czyż „Iskra“ nie przypuszcza, że my jej zgóry za takie rozkosze podziękujemy? Czy „Iskra“ nie obawia się, że i Czeremisi odrzucą ten dar wspaniałomyślny? My — nie znając zresztą bliżej tego sympatycznego ludu — skłonni jesteśmy przypuszczać, że on nic a nic nie straci na rusyfikacyi, a nawet będzie się do niej — wbrew „Iskrowym“ obietnicom „równości“ — garnął. Zresztą — mówiąc seryo — „Iskra“ może mieć racyę, wstawiając do swego programu ową „ogólnikową“ równość, ze względu na ewentualną przyszłą socyalistyczną partyę czeremiską. Dla P.P.S. — to trochę zamało.

Zamało tego i dla ukraińskich i dla litewskich, może nawet już i dla kaukaskich socyalistów. I im więcej będzie tak zarozumiałych w swych wymaganiach partyj rewolucyjnych w caracie, tem bardziej my będziemy radzi. Bo — widzi „Iskra“ — z caratem rosyjskim ogólnikowe frazesy nie wystarczają. Rozumiał to kiedyś i Plechanow, gdy w 1892 r. wzywał wojsk niemieckich na pomoc rewolucyi — dla rozbicia Rosyi. Rozumiał i na początku 1896 r., gdy nam obiecywał w przyszłem powstaniu polskiem „nie samych katów z Rosyi.“ Może przestał rozumieć w połowie 1896 r., gdy letnie strejki petersburskie nawet Kautsky'emu kazaly raptem zastanawiać się nad stosunkową wartością rewolucyjną Petersburga a Warszawy...

Ale przecież „sukcesy“ strejków, topionych we krwi ro-

---

wiąc o żądaniach narodowych, przyjętych za swoje przez daną partyę socyalistyczną, nie możemy nawet przypuszczać żądań krzywdzących inne narody.

botniczej, nie na stałe będą taką niesłychaną pewnością siebie przejmowały socyalistów rosyjskich. Tymczasem zapewne „Iskra“ w jakimś następnym artykule jeszcze bardziej podkreśli kropki nad *i*, z większą jeszcze otwartością i jeszcze dalej posunie się w podpisywaniu „argumentów“ Mehringa. Przyjść jednak musi czas, gdy socyaliści rosyjscy, znajdujący się w niewiele lepszem, niż my, położeniu — zrozumieją, że gliniano-nogiego kolosu caratu nie można obalić bez roztłuczenia, bez uszkodzenia jego całości, i że do tego potrzeba rozpętania wszystkich czynników rewolucyjnych imperyum rosyjskiego, pomiędzy innymi i czynników separatystyczno-narodowych.

Ze wspomnień wygnańca.

IV.

Konie nasze, po kilkunastodniowem dobrem odżywianiu, wypoczęte należycie, kroczyły raźno. Po chwili wioska została za nami. Narzędzia naszego kunsztu, zawieszone na wierzchu juków, pobrzękiwały wesoło, napełniając cichą okolicę brzękiem metalicznym.

Jakiś czas jechaliśmy drogą między dosyć częstemi osadami Jakutów i dopiero po zachodzie słońca, więc już dobrze wieczorem, wjechaliśmy do tajgi. Zsiadłszy z koni, by popuścić im trochę popręg i nakarmić je owsem, spostrzegliśmy brak szynki, wszystkiego naszego mięsa na drogę. Było to odkrycie nad wyraz nieprzyjemne. Przyjaciel mój przez całą drogę opowiadał mi historyę owej szynki, rozkoszował się jej smakiem, zapachem i t. p. zaletami wędzonej wieprzowiny (gospodyni jego dała mu kawałek sprobować zaraz po uwędzeniu) i namawiał mnie ciągle do urządzenia postoju, by sprobować owego specyału, lecz ja parłem naprzód, pozostając głuchym na wszelkie pokusy. Obecnie właśnie był czas, kiedy można było sprobować owego przysmaku, lecz, jak wspomniałem, szynka znikła. Odkrycie to wprawiło mego towarzysza w taką wściekłość, że chciał się zemścić na koniu, wiozącym juki.

Gdyby ktokolwiek widział był nas wtedy, kłócących się o ową szynkę i o to, kto był winien, że zginęła, pomyślałby, że zjechali się dwaj wrogowie, którzy zaczną się bić zaraz. Z tej przykrej sytuacyi wybawił nas poczynający kipieć imbryk, który przypomniał nam, że trzeba zaparzyć herbatę. Chleb grubo nasmarowany masłem topionem i parę kubków herbaty zagłuszyły uczucie głodu i nawet zguba nie wydała się nam już tak przykrą. Później wspominaliśmy często naszą szynkę, lecz z mniejszą namiętnością, niż to miało miejsce pierwszy raz. Pocieszaliśmy się tem, że nikt z nas nie winien, tylko rzemień, którym przyjaciel mój przywiązał szynkę do juków.

Początek naszej podróży konno napełnił nas wielką otuchą do dalszego ciągu. Droga, wytknięta jeszcze w Jakucku według mapy urzędowej gubernii Jakuckiej, okazała się w rzeczywistości prawidłową i lepszą, niż przypuszczaliśmy, co wprawiało nas w podziwienie i wyborny humor. Dopiero w miarę zagłębiania się w tajgę, przekonaliśmy się, że

o ile mapa w początku drogi nam pomagała, o tyle później wprowadzała nas w błąd. Trzeba było rzucić mapę i kierować się instynktem trochę, a trochę kompasem.

Chcąc dobrać się do górnej części rzeki Olokmy, musieliśmy przecinać tajgę w kierunku południowo-wschodnim. Liczyliśmy. że po jakich dziewięciu lub dziesięciu dniach forsownej jazdy dosięgniemy Olokmy. skąd po przeprawie jechalibyśmy dalej ku Amurowi; tymczasem nieprzewidziane przez nas okoliczności. jak większe, niż przypuszczaliśmy, niedokładności mapy i brak traw w tajdze przeszkodziły nam dopiąć celu i zmusiły do szukania innej drogi.

Po tych kilku uwagach o kierunku naszej drogi przystępuję do opowiadania naszych przygód tajgowych. Z pierwszego postoju ruszyliśmy dobrze już w nocy. Chcąc przeprawić się nocą przez małą rzeczkę (przecinającą nam drogę). nie żałowaliśmy koni. Jechaliśmy jeszcze drogą dobrze ujeżdżoną; konie szły wyciagniętym kłusem, tak że zdawało się nam, iż po kilku godzinach takiej jazdy dojedziemy do przeprawy. Tymczasem dojechaliśmy do miejsca, skąd droga nasza rozdwajała się; jedno z tych rozdwojeń szło w tak podejrzanym kierunku, że nie podobna było. tak się nam wydało. aby właśnie ono było drogą, która nas miała zaprowadzić do przewozu. Wybraliśmy tedy mniej podejrzany kierunek. Po trzech godzinach jazdy w tym kierunku droga, wyraźna dotąd. zaczyna nam coraz bardziej niknąć. zmienia się powoli w ścieżkę i w końcu całkiem się zaciera. Co miała znaczyć ta droga i w jakim celu jeżdżono po niej, nie mogliśmy wtedy wyrozumieć. Czy niegdyś w tych stronach była osada jakucka, czy może zabierano stąd drzewo bardzo dawno. gdyż świeżych pni nie widzieliśmy; lecz co w takim razie znaczyłyby świeże ślady końskie i kołowe, to dotąd jest dla mnie tajemnicą.

Zostawszy bez drogi postanowiliśmy jechać w raz obranym kierunku; wracać do rozstaju i wogóle wracać nie zamierzaliśmy tymczasem. Tak czy owak trzeba będzie jechać bez drogi, a czy to nastąpi o dzień wcześniej, było nam obojętne. Nie podobało nam się tylko to. że miejsca. przez które przejeżdżaliśmy, były wysokie; tajga nie miała w tych miejscach żadnego podszycia. Na gołej. jakby po pożarze ziemi, a właściwie piasku. sterczały modrzewie i sosny. i gdzieniegdzie cedry, a między nimi jak wysepki poletka borówek. Nie smuciliśmy się tem bardzo; mieliśmy jeszcze trochę owsa; sądziliśmy, że w głębi tajgi napotkamy od czasu do czasu miejsca, gdzie można będzie nakarmić konie. Wiedzieliśmy. że kilka dni konie nasze wytrwają. żywiąc się borówkami. a, jak wspomniałem, po 10-ciu dniach jazdy spodziewaliśmy się przejechać Olokmę, skąd mielibyśmy drogę wygodniejszą. Godziny upływały jedna za drugą; droga z każdą chwilą stawała się dzikszą; tajga gęstszą. Miejscami koń niosący juki wiązł między drzewami; jechać szybko w takich warunkach było niemożliwem. W końcu konie zaczęły się nużyć, i my po kilkogodzinnem trzęsieniu się na siodle, uczuwaliśmy potrzebę rozprostowania członków. Czekaliśmy tylko odpowiedniego miejsca, gdzie konie mogłyby choć trochę poskubać. Wreszcie koło południa natknęliśmy się na ogrodzony kawałek łąki, na której dwóch Jakutów siedziało koło ogniska. Najechaliśmy ich tak raptownie, że nie zdążyli umknąć, do czego mieli chęć okrutną. Udało się nam oswoić ich jakoś i po poczęstunku herbatą, a głównie wódką. Jakuci zobowiązali się doprowadzić nas do brodu na rzeczce, która według ich opowiadań miała być tuż.

W miarę działania oparów alkoholowych Jakutom rozwiązywały się języki. Okazało się nawet, że jeden z nich, starszy, mówi po rosyjsku trochę i, jak zwykle w takich wypadkach, chciał się pochwalić przed nami znajomością „ruskich". Czasu mieliśmy dosyć, gdyż trzeba było dać odpocząć koniom. Spać nam się chciało, lecz baliśmy się usnąć. Bawiliśmy się tedy gawędą z Jakutami. Z początku nie śmieli widocznie pytać, cośmy za jedni, lecz w miarę gawędzenia zauważyłem, jak coraz bardziej pali ich ciekawość. O ile mogłem wywnioskować z tego, co mówili między sobą, bali się pytać o to. Wreszcie nie wytrzymali, i gdyśmy powiedzieli, że szukamy złota, nie zrozumieli nas odrazu, i dopiero po szczegółowem wytłomaczeniu im naszego zadania rozbudziliśmy w tych synach tajgi podziwienie i szacunek.

Przeprawiwszy się z pomocą naszych Jakutów przez rzeczkę, pożegnani przez nich bardzo serdecznie, postanowiliśmy wypocząć. Uwiązawszy konie na długich sznurach, specyalnie dla tego celu przygotowanych, ułożyliśmy się do zasłużonego bardzo odpoczynku.

Od wyjazdu z Jakucka nie spaliśmy prawie, nie licząc mego drzemania na piasku nad brzegiem Leny. To też teraz ledwom się położył, usnąłem w tej chwili. Nie przeszkodziły i komary, unoszące się w pachnącem powietrzu tajgi chmurami. Byliśmy tak spragnieni snu, że nie chciało się nam rozpiąć namiotu. Z siatkami na twarzach, zdążywszy zaledwie rozkulbaczyć konie, pochowawszy ręce, spaliśmy obaj, zapomniawszy o świecie i czyhających na nas nieprzyjemnościach. Obudziłem się po zachodzie słońca i pierwszą myślą, która mi przyszła wtedy do głowy, było pytanie: czy są konie. Dopiero teraz zrozumiałem, jak nieostrożnie było z naszej strony spać jednocześnie. Nie budząc towarzysza, pobiegłem pędem do miejsca, gdzieśmy przywiązali konie. Polana, na której zostawiliśmy konie, oddzielona była od naszego koczowiska gęstym zagajnikiem. Gdym ujrzał, przedarłszy się przez zagajnik, pustą polanę, zląkłem się nie na żarty. Na razie nie wiedziałem, co czynić, czy pójść budzić towarzysza i zakomunikować mu tę rozpaczliwą wiadomość, czy krzyczeć gwałtu. Cała nadzieja nasza była w koniach, bez nich byliśmy zgubieni. Ani przez myśl nie przeszło mi, że konie mogły się urwać i pójść szukać lepszej trawy. Ukradli je Jakuci i sprawa skończona.

Jak zwykle bywa w takich wypadkach, zacząłem myśleć nad tem, kto z nas był winien, że konie uciekły, lub też, że ukradli je Jakuci. Nie mogąc znaleść winowajcy, wściekły wróciłem do koczowiska i zacząłem targać bez litości swego towarzysza. Spał tak twardo, że nie mogłem go obudzić; to popsuło do reszty sprawę. W tej chwili cała rozpacz i wściekłość moja zwróciły się na towarzysza. Czas, stracony na rozbudzenie tego śpiocha, wydawał mi się zbyt długi; każda minuta była drogą. Nie mogąc dać rady, schwyciłem go za nos i zacząłem ciągnąć z całej siły. To pomogło. Ból, jaki sprawiła mu ta operacya, spowodował, że się poruszył, lecz nie miał zamiaru wstać. Jednakże nie przestałem mu dokuczać, i w końcu udało mi się przywieść go do przytomności.

Fizyognomia jego mogła była wzbudzić litość w najtwardszem sercu, to też i ja, pomimo rozpaczliwego położenia, w jakim znaleźliśmy się, zacząłem go żałować. Fizyognomia ta mówiła o strasznem, śmiertelnem pragnieniu snu. Pozwolić mu spać w tej chwili wydawało mi się niemożliwością; stracić konie w tej chwili było to to samo, co stracić napróżno wszystkie trudy.

Rozumieliśmy to obaj doskonale. Wystarczyło więc powiedzenie.

że koni nie mamy, a towarzysz mój odrazu zerwał się jak oparzony. Schowawszy rzeczy, puściliśmy się na poszukiwanie. Szczęściem dla nas grunt nad brzegiem był miękki, i znać na nim było ślady kopyt. Zaczęliśmy rozpatrywać miejsce, gdzie się pasły konie, by się zorjentować, w jakim kierunku puścić się. Odszukawszy wreszcie ślady końskie i kierunek, w jakim szły, trzeba było się przekonać, czy tylko naszych trzech koni są te ślady, czy też oprócz nich są i inne, które byłyby wskazówką, że nie mamy czego szukać. Towarzysz mój był majstrem w takich rzeczach, to też wkrótce wywnioskował, że konie nasze poszły same szukać lepszego pożywienia. Z otuchą ruszyliśmy w ich ślady i po trzech godzinach pościgu natknęliśmy się na naszych zbiegów.

Z radości nie wiedzieliśmy co robić; zaczęliśmy się okrutnie ściskać, w końcu przyszła mi ochota ucałować i konie. Wracając teraz do miejsca, gdzieśmy schowali rzeczy, rozpatrywaliśmy tajgę. Okazało się, że nie możemy w tem miejscu zagłębiać się w nią; była za gęsta, co krok musielibyśmy wycinać sobie toporem drogę. Postanowiliśmy jechać jakiś czas drogą od brodu, przejechać koło uprawy jakuckiej nocą i dopiero potem rzucić się w głąb. Było to ryzykowne przedsięwzięcie, ale na razie nic lepszego nie można było wymyśleć.

Przed północą wyszykowaliśmy się do podróży. Chcąc ulżyć jucznemu koniowi, postanowiliśmy wrzucić wszystkie niepotrzebne graty do rzeczki, nad którą obozowaliśmy. Najcięższe z nich były nasze narzędzia: łopaty, kilofy, czerpaki i t. p. rzeczy, potrzebne przy kopaniu złota. Akcesorya te były nam z początku niezbędne; obecnie powstało pytanie, czy wieść je dalej, czy też utopić. Według opowiadania Jakutów, przy pomocy których przeprawiliśmy się przez rzeczkę, do uprawy było 30—40 wiorst. Pytanie, czy uda się nam przejechać tak, by nas nikt nie zauważył. 40 wiorst, gdy koniom ulżymy, przejedziemy w ciągu trzech, najwyżej czterech godzin. Będzie więc noc, i Jakuci będą spali wtedy, gdy będziemy przejeżdżali koło uprawy. Przytem uprawa leży na skraju tajgi w nizinie; można przemknąć się, zjechawszy trochę na bok. W razie jakiego nieprzyjemnego spotkania z Jakutami, narzędzia owe mogłyby być dowodem, że szukamy rzeczywiście złota. Po rozpatrzeniu tej sprawy ze wszystkich punktów widzenia, jak powiadają prawdziwi marksiści, postanowiliśmy nasze narzędzia utopić. W najgłębszem miejscu rzeki spoczywają sobie nasze kilofy, łopaty i t. p. rzeczy, które obciążały dotąd biedną naszą szkapę juczną, naszego Wasyla Jegorowicza (takie miano dali poprzedni właściciele koniowi, tak też i my nazywaliśmy go w drodze, gdyśmy byli w dobrym humorze, lub poprostu Waśką, jeżeli zasługiwał na naganę, co się zdarzało dosyć często).

Koń ten należał do rzędu stworzeń, nie lubiących pracować; bardzo zręcznie umiał zrzucać juki wtedy, kiedy to całkiem było nieodpowiednie. Nie pomagały żadne racye; przyszedł już na świat widocznie z duszą protestującą; na dotkliwe nauki odpowiadał wierzganiem i kąsaniem. Drugi z naszych biegasów nie pozwalał znów siodłać się; trzeba było spowijać go sznurami. Tylko jeden, Cygan, był zwierzęciem bardzo inteligentnem, Z tym nie mieliśmy najmniejszego kłopotu, chyba tylko tyle, że nie jadł chleba. Ale o tem—potem.

Słońce było już wysoko, gdyśmy zjechali z drogi i zaczęliśmy zagłębiać się w tajgę. Tajga w tem miejscu była rzadką, więc posuwaliśmy się szybko naprzód. Śpieszyliśmy bardzo, popierwsze dlatego, że chcieliśmy być jaknajdalej od miejsc zamieszkałych i, powtóre, wjechać w niższe

miejsca tajgi. gdzie „spodziewaliśmy się znaleść trawę. Spotkaliśmy wszędzie ślady, wskazujące, że tajgę odwiedzają tutaj Jakuci dosyć często. Widzieliśmy drogi z odciskami kopyt końskich, kół i bydła rogatego. Wszystko to kazało się domyślać, że gdzieś niedaleko musi być osada; drogi te szły w rozmaitych kierunkach, zbiegając się do uprawy. Staraliśmy się wymijać te drogi; gdy się trafiło, że droga jaka szła w tym samym kierunku, w jakim my musieliśmy jechać, przecinaliśmy ją pod prostym kątem i dopiero odjechawszy kilka wiorst jechaliśmy dalej na południowy wschód. Zygzaki te przedłużały strasznie naszą drogę i pomimo manewrowania nie uniknęliśmy nieprzyjemności natknięcia się na całą, dosyć dużą, osadę Jakutów. Wyrosła przed nami tak raptownie, że nie pozostawało nic innego, jak tylko przedefilować demonstracyjnie koło całego szeregu chałup jakuckich.

Przeprowadzani szczekaniem zajadłem psów, którym życzyliśmy wszystkiego najgorszego w ich psiem życiu; gdyśmy się oddalili od osady na tyle, że nas stamtąd widzieć już nie mogli, puściliśmy się cwałem i po odjechaniu porządnego kęsa drogą. musieliśmy kluczyć, by zatrzeć za sobą ślady. Wydało się nam bardzo podejrzanem to, że nikogo, oprócz psów, nie spotkaliśmy w osadzie. Wobec ciekawości Jakutów było to niezrozumiałem, że nikt nie wyszedł popatrzeć, na kogo psy tak zawzięcie ujadają. Późno już w nocy przyjechaliśmy nad jeziorko, okrążone gęstym zagajnikiem. Po brzegach jeziorka rosła skąpa trawa; było to za mało dla trzech koni, niekarmionych od 18 godzin, lecz byliśmy tak zmęczeni, iż szukać lepszego miejsca nie byliśmy w stanie.

Po pięciu dniach podróży w tajdze, gdy konie nasze zjadły nam prawie wszystek chleb i mąkę, nie mówiąc o owsie, którego na drugi dzień już zabrakło, przekonaliśmy się, że jechać naprzód, t. j. przecinać tajgę w obranym kierunku, jest niemożliwem. Konie schudły strasznie, porządnej paszy nie mogliśmy znaleść. Po całych dniach nieraz nie zatrzymywaliśmy się, gdyż nie mogliśmy znaleść miejsca, gdzieby konie nasze mogły choć uczciwie oszukać głód. Byliśmy obecnie w niskich miejscach; ciągle natykaliśmy się na błota, których objeżdżanie zabierało moc czasu. Konie nie mogły opędzić się komarom, które wypijały i z nich i z nas krew. Na postojach tak obsiadły koni, że nie można było rozróżnić maści; z siwych robiły się konie nasze ciemnymi, komarowej barwy. W miarę, jak opadały z sił, niosły coraz ciężej, tak, że wytrząsały nam poprostu kości. Coraz częściej i coraz więcej szliśmy na piechotę, by ulżyć i sobie i koniom. Nareszcie szóstego dnia, pomimo przykrości, postanowiliśmy zmienić kierunek podróży, wyjechać z tajgi i jechać brzegiem Leny, gdzie są łąki i gdzie u Jakutów można było dostać jadła. Sądziliśmy, że ujechaliśmy już dosyć daleko od Jakucka i że nie będziemy mieli żadnych trudności ze strony Jakutów.

Zaczęliśmy tedy odwrót. Postanowiliśmy prawie nie odpoczywać, by jaknajprędzej wyjechać z tajgi i dobrać się do jadła. Jak wspomniałem już, musieliśmy karmić konie chlebem, a w końcu oddaliśmy im i mąkę. Obecnie nie mieliśmy nic po za herbatą i cukrem. Tego ostatniego było niewiele. Było i trochę masła topionego, lecz dzięki gorącu zjełczało, i w dodatku bez chleba jeść go nie mogliśmy.

Późno w nocy pierwszego dnia odwrotu z tajgi trafiliśmy do osady Jakuckiej, rozłożonej w dosyć obszernej dolinie.

(D. c. n.) *St. Paliński.*

Kryzys na Węgrzech.

Aby zrozumieć to, co się obecnie dzieje na Węgrzech, musimy przedewszystkiem uprzytomnić sobie stosunek prawno-państwowy, w jakim Węgry znajdują się do dynastyi habsburskiej i do reszty krajów, przez tę dynastyę rządzonych.

Stosunek ten od samego początku, od czasu, jak Habsburgowie w w. XVI powołani zostali na tron węgierski, pojmowany był inaczej przez nich, a inaczej przez naród węgierski – pod narodem rozumieć tu musimy warstwy, które w każdej epoce brały udział w życiu państwowem, czyli aż do XIX stulecia prawie wyłącznie magnatów i szlachtę, zupełnie jak w Polsce. Węgrzy oddali koronę Habsburgom, już wówczas władcom Czech i krajów niemieckich, jak Dolna i Górna Austrya, Tyrol, oraz niemiecko-słowiańskich (Styrya, Karyntya, Kraina), już wówczas piastującym dziedzicznie, mimo nominalnej obieralności, berło cesarstwa rzymsko-niemieckiego – dlatego że potrzebowali ciągłej pomocy przeciw grożącemu niebezpieczeństwu tureckiemu. Na tej samej potrzebie wspólnej i wzajemnej obrony opiera się „Sankcya Pragmatyczna“ z początku XVIII w., w której Węgrzy zobowiązali się uznawać za swego króla tego z Habsburgów, na kogo prawem dziedziczności przejdzie władztwo krajów niemieckich, czeskich i południowo-słowiańskich. Jest to więc wzgląd czysto utylitarny; mamy tu wyraźną umowę między narodem a dynastyą, nie zaś poddanie się pod panowanie dynastyi dlatego, że ona ma do tego prawo z bożej łaski. Węgrzy też nigdy inaczej swego stosunku do monarchy nie pojmowali. Jest to naród, którego parlamentaryzm jest, wraz z angielskim, najstarszy w Europie. Jak w Anglii, tak i na Węgrzech magnaci i szlachta już na początku XIII w. potrafili wymódz na władzy królewskiej uznanie sejmu, jako niezbędnego czynnika współrządzącego. Z wygaśnięciem pierwotnej rodziny dynastyi Arpadów sejm przywłaszczył sobie i prawo wybierania królów, którego się prawnie i ostatecznie wyrzekł na korzyść dziedziczności Habsburgów dopiero w końcu XVII i na początku XVIII w. Ale i nadal pozostała w świadomości węgierskiego narodu, rozwinęła się i później przybrała nowożytne formy już dawniej wytworzona teorya, że d y n a s t y a, jako całość, została wybrana, powołana p r z e z n a r ó d, że tylko temu wyborowi, tylko woli narodu zawdzięcza ona swe stanowisko, że wola narodu jest jedynem źródłem praw rządu i obowiązków rządzonych, że wszystkie bez wyjątku prawa monarchy są mu jedynie delegowane przez naród; mogą być odebrane, jeśli ich używa przeciw narodowi. Szlachta węgierska (tak samo zresztą, jak szlachta innej rzeczypospolitej arystokratycznej—Polski) znała i niejednokrotnie za rządów Habsburgów praktykowała zasadę, którą dopiero działacze Rewolucyi francuskiej proklamowali dla całego ludu: że jeśli rząd nadużywa delegowanych sobie praw przeciw narodowi, to bunt jest prawem i obowiązkiem każdego obywatela. Gdy z początkiem w. XIX zaczęła się demokratyzacya narodowości, podniesienie i warstw nieszlacheckich do życia państwowego—i to prawo rozszerzyło się na nie bez przerwania ciągłości historycznej rozwoju. I w imię całego narodu w nowożytnem znaczeniu Ludwik Kossuth w r. 1848 ogłosił Habsburgów za pozbawionych tronu węgierskiego.

Z drugiej strony dynastya nigdy oczywiście nie uznała w zupełności tego pojmowania źródła i granic prawnych za słuszne. W innych krajach,

podległych jej panowaniu, stany wyższe również robiły próby ograniczenia władzy monarszej i uzyskania współudziału w rządzie; próby te jednak, w Austryi, powstałej z wojowniczej marchii, i w Tyrolu — słabsze, w Czechach — silniejsze, rozpaczliwe, zostały zduszone w XVI i na początku XVII w. Absolutni panowie w tych dziedzinach chcieli być nimi Habsburgowie i na Węgrzech. Nieraz, zmuszeni przeciwnościami zewnętrznemi, zawierali pokój, a raczej rozejm, z narodem węgierskim, godzili się z sejmem, ale jak tylko czuli się silniejszymi, chwytali pierwszą sposobność, aby samorząd Węgrów sprowadzić do zera. Syn uratowanej tylko przez Węgrów Maryi Teresy, Józef II, ów „despota oświecony“, który, będąc władcą tak wielojęzycznego państwa, wypowiedział zdanie o tem: „jak by to było pięknie i pożytecznie, gdyby wszyscy obywatele jednego państwa mówili jednym językiem!“ — swymi zamachami na wolności węgierskie nadał walce, która miała dotąd charakter konstytucyjny, zabarwienie narodowościowe.

Chciał on ze swych tak różnorodnych posiadłości stworzyć państwo jednolite z biurokracyą niemiecką. Kazał Węgrom w stosunkach urzędowych używać języka niemieckiego, zamiast łaciny, która dla szlachty, można powiedzieć, stała się była drugim językiem narodowym. Próby te nie udały się; Węgrzy sami od r. 1831 zastąpili na sejmie łacinę — ale językiem węgierskim. Rozpoczęła się walka przeciw absolutyzmowi na nowożytnym gruncie, podobna do walk włoskich i polskich z pierwszej połowy XIX w. zarazem o swobody polityczne i o niepodległość narodowościową. Kulminacyjnym jej punktem był, jak wiadomo, r. 1848; absolutyzm habsburski, wspomagany przez carat, święcił tryumfy chwilowe, ale w latach sześćdziesiątych, po Solferino i Sadowie, wobec bankructwa państwowego, musiał wreszcie ustąpić...

Ustępstwa, zarówno dla Węgrów, jak dla innych ludów, były bardzo niezupełne. Węgrzy walczyli o swe prawa najenergiczniej, więc też i uzyskali najwięcej, ale i oni zadowolić się musieli — kompromisem między dążeniami swemi pod względem narodowym i konstytucyjnym a oporną wolą korony. Kompromisem tym — był właśnie trwający dotychczas ustrój dualistyczny monarchii habsburskiej, wprowadzony w r. 1867. Węgry uzyskały tu to, czego nie uzyskała żadna inna narodowość, pod berłem Habsburgów zostająca, nie wyłączając Czechów, którzy pod względem prawno-historycznym mogą mieć i mają taką samą pretensyę: uznane zostały za zupełnie samodzielne państwo, nie posyłające wcale swych przedstawicieli do rady państwa wiedeńskiej. Sejm ich nie jest, jak galicyjski albo czeski, jakimś ograniczonym „sejmem krajowym“, lecz pełnoprawnem ciałem prawodawczem i kontrolującem. Reszta posiadłości habsburskich połączona została w drugie zupełnie samodzielne państwo, nie mające jednak własnej nazwy. W stosunkach zewnętrznych wprawdzie całość monarchii habsburskiej nazywa się Austro-Węgry, ale w wewnętrznych dynastya odczuwa pewną niechęć do nazwania Austryą tylko tej połowy swych posiadłości, bez Węgier, przytem nie zgodziliby się na to i Czesi, więc urzędowa nazwa dla krajów od Bukowiny do Dalmacyi jest jedyna w swoim rodzaju: „królestwa i kraje, reprezentowane w radzie państwa.“ Tą połową monarchii, zwaną dla krótkości, choć całkiem nie ściśle, Przedlitawią, rządzą zupełnie osobni ministrowie, nie mający nic wspólnego z zarządem jakichkolwiek spraw węgierskich. Odzyskując w ten sposób teoretycznie zupełny samorząd, całkowitą niepodległość państwową, Węgrzy musieli jednak część swych praw, jako narodu, pozosta-

wić w rękach cesarza austryackiego. Mamy na myśli mianowicie tak zw. „sprawy wspólne monarchii.“ Są to: polityka zagraniczna. sprawy wojskowe, zarząd finansów. potrzebnych na te cele oraz zarząd jednej po r. 1867 zdobytej prowincyi – Bośni i Hercegowiny – który połączony jest ze wspólnem ministeryum finansów. Rzecz prosta, że jeżeli Węgry i „Austrya“ mają jednego panującego, to mogą też mieć jedną tylko politykę zagraniczną. do urzeczywistnienia celów której głównie używane też bywa wojsko; są to więc rzeczywiście sprawy wspólne dwóch tych państw. Nie mogły więc być pozostawione każdemu parlamentowi z osobna do zupełnego uznania; a to pozwoliło koronie zatrzymać dla siebie daleko większy wpływ na nie. niż na wszelkie inne sprawy polityki wewnętrznej, ekonomicznej. wyznaniowej i t. d. O to też szło: wiadomo. że monarchowie wszyscy przywiązują największą wagę do polityki zagranicznej i wojskowości, a całą politykę wewnętrzną traktują głównie jako przygotowywanie środków do tych celów. Wprawdzie kierownictwo sprawami zagranicznemi i wojskowemi także ubrane jest do pewnego stopnia w formy parlamentarne. ale są to już tylko – formy. Ministrowie odnośni, wspólni. którym nie wolno być jednocześnie ministrami węgierskimi lub austryackimi – są mianowicie „odpowiedzialni“ przed d e l e g a c y a m i w s p ó l n e m i. Delegacye te wybiera każdy z dwóch parlamentów w ten sposób. że izba poselska deleguje 40. a izba panów 20 członków. Zbierają się one raz na rok, na jakieś 2 tygodnie, kolejno w Wiedniu i w Budapeszcie. Cesarz wydaje dla nich obiad dworski. Każda delegacya obraduje osobno i ma zupełnie takie sama prawa, jak druga; jakiejże to więc zgody i energii trzeba by było, żeby delegacye mogły kiedykolwiek przeprowadzić coś niezgodnego z wolą ministrów i cesarza! Jeśli się przytem zważy, że wskutek wybierania delegatów nie przez ludność, lecz przez sam parlament wszelkie stronnictwa opozycyjne, radykalniejsze, albo nie są w nich reprezentowane wcale, albo znacznie słabiej, niż w parlamentach; że zbiera się tam po 60 panów, właściwie przed nikim nieodpowiedzialnych, a chcących zwrócić na siebie uwagę i przypodobać się temu, kto jest źródłem łask i zaszczytów – to zrozumiemy. że ministrowie wspólni mają delegacye całkowicie w ręku: członkowie ich grają faktycznie tylko rolę figurek chińskich, kiwających na wszystko głowami. W ten sposób korona zatrzymała faktycznie w swych rękach sprawy dyplomatyczne i wojskowe, nie oddała ich właśnie – w ciężkiej chwili ustępstw – pod władzę ani parlamentu austryackiego, ani sejmu – czyli narodu węgierskiego. Ale co do spraw wojskowych, to stało się to jeszcze i w inny sposób. Wiedząc, że na tym punkcie opór cesarza będzie najsilniejszy. bezwzględny – twórcy dualizmu ze strony węgierskiej postąpili w ten sposób, że parlament węgierski, który uchwalił wogóle całą ustawę o stosunku do Austryi i dynastyi, czyli o dualizmie, w ustawie tej uchwalił także paragraf, powierzający królowi węgierskiemu (czyli zarazem cesarzowi austryackiemu) prawo rozstrzygania o wewnętrznej organizacyi i zarządzie „armii węgierskiej“, nazwanej „częścią dopełniającą wojska wspólnego.“ Na to zwracamy uwagę, ponieważ ten punkt gra bardzo ważną rolę w dzisiejszym kryzysie.

Oprócz tego uznano jeszcze cały szereg spraw za wspólne dla obu „połów monarchii“ (jak mówią Niemcy austryaccy) – dla obu p a ń s t w – jak mówią Węgrzy: monetę, bank państwa, kordon celny i taryfę. Ale te sprawy nie należą już do delegacyj wspólnych, tylko do każdego parlamentu i ministeryum. Ministrowie obustronni toczą o nie układy między

sobą, poczem parlamenty je uchwalają w formie jednobrzmiących praw na lat 10. Wspólność dyplomatyczna i wojskowa uważana jest za wieczystą, ekonomiczno-handlowa – za czasową. Ta ostatnia tylko stanowi właściwą treść odnawianej co lat 10 „ugody austro-węgierskiej.“

Ustawy z r. 1867 nie przyniosły zatem Węgrom ani zupełnego faktycznego samorządu, ani zupełnej demokratyzacyi instytucyj państwowych: ponieważ prawo wyborcze do parlamentu i dotychczas opiera się na cenzusie. Jednakowoż walka na razie ustała. Co do demokratyzacyi. to o nią już w r. 1867 warstwom, biorącym udział w życiu politycznem. tak bardzo nie chodziło; szlachta, pomieszana już z rozwijającą się burżuazyą kapitalistyczną, uległa ogólnemu w Europie uwstecznieniu politycznemu i we własnym interesie uważała cenzus za dobry. Co zaś do samorządu narodowego, to jednak dualizm dawał Węgrom tak dużo, że przy ogólnej również tendencyi klas posiadających do uspokojenia i oddania się „zbogaceniu kraju“, mogli oni poprzestać na tem. Tembardziej, że dualizm dawał im wzamian za ustępstwa na korzyść korony i wspólności z Austryą wielką zapłatę: panowanie nad narodowościami innemi, nad krajami. które jak Siedmiogród z jego niemiecką i rumuńską ludnością. Habsburgowie usiłowali dawniej zawsze traktować, jako prowincye niezależne. Ustanowiona została jedność państwa „krajów korony św. Stefana“, jedynie Chorwacya zachowała nadal pewien samorząd, ale niezmiernie ograniczony i coraz więcej przez rządy węgierskie z biegiem czasu ograniczany.

Przez lat 30 trwał tedy spokój. Ustrój dualistyczny funkcyonował prawidłowo. Bogata szlachta i burżuazya, w ogromnej części złożona z Żydów. którzy jednak pośpieszyli całkowicie się zasymilować i z Madziarów. znakomicie rozumiejących swój interes narodowy, nie natrafili nigdy na żaden antysemityzm. warstwy, reprezentowane wiernie przez rządzące stronnictwo „liberalne“, oddawały się na wielką skalę operacyom kapitalistycznym, rozwijając powoli przemysł, „pielęgnując“ w latifundiach rolnictwo i – wytwarzając także proletaryat... Gospodarka kapitalistyczna, połączona oczywiście z mnóstwem szachrajstw i brutalności, rodząca zgniliznę i demoralizacyę, z której wkrótce Budapeszt na cały świat zasłynął – wywołała z czasem w kraju wiele niezadowolenia. przeważnie nieokreślonego. jak to się zwykle w początkach kapitalizmu dzieje. Nadać temu niezadowoleniu kierunek określony usiłuje nasza bratnia partya socyalistyczna; ale wobec nielicznego stosunkowo proletaryatu fabrycznego partya ta jest jeszcze bardzo słaba, a wobec braku głosowania powszechnego – pozbawiona prawie zupełnie wpływu na życie polityczne, tembardziej. że rząd prześladuje ją z całą azyatycką bezwzględnością. Warstwy średnie i tu. jak wszędzie, potrzebowały innej formy do wylania swego niezadowolenia z okresu rządów „liberalnych.“ Znalazła się forma – narodowa: dążenie do uzupełnienia częściowego zwycięstwa. odniesionego nad Austryą i Habsburgami w r. 1867. do uzupełnienia samorządu narodowego. Dwa stronnictwa wystawiły to hasło, różniąc się niejako pod względem ilościowym. Partya „narodowa“ stała na gruncie ugody z r. 1867. uznawała cały ustrój dualistyczny, lecz w ramach jego dążyła do stopniowego uniezależnienia ekonomicznego Węgier od Austryi i unarodowienia armii. Obecnie partya ta przestała istnieć osobno. połączyła się przed paru laty z rządzącem stronnictwem liberalnem; jedynie dzięki temu połączeniu. dokonanemu przez Kolomana Szella. partya liberalna zdołała jako tako naprawić swą popularność po upadku Banffy'ego, skom-

promitowanego korupcyą i zbyt energiczną obroną ugody z Austryą. Jednak była partya narodowa stanowi dotychczas faktycznie osobną i wpływową grupę w łonie rządzącego stronnictwa liberalnego; przywódcą jej jest prezes izby poselskiej hr. Apponyi. Drugim stronnictwem, które wystawiło hasła narodowe, tylko daleko dalej idące, jest „stronnictwo niepodległości i roku 1848“. któremu przywodzi Franciszek Kossuth, syn dyktatora rewolucyjnego. Ono żąda zniesienia ugody z r. 1867, a zastąpienia jej unią osobistą. czyli stosunkiem takim, jaki łączy np. Szwecyę i Norwegię: Węgry byłyby państwem zupełnie niepodległem, miałyby swą własną politykę celną, która mogłaby doprowadzić i do oddzielenia się kordonem celnym od Austryi, swe własne wojsko, a tylko wspólnego z Austryą monarchę. Po za tem istnieje jeszcze na Węgrzech t. zw. „katolicka partya ludowa“ (hr. Zichy, Rakowszky), niezbyt liczna ani silna; ta nienawidzi liberałów za przeprowadzenie ślubów cywilnych i t. p. i również popiera przeciw nim żądania narodowe.

Wszystkie te dążenia, cała masa nagromadzonego niezadowolenia, czekały tylko na sposobność, żeby się wyładować. Rząd „wspólny“ wiedeński był jednak na to ślepy i sam sposobność nastręczył: było nią żądanie ministeryum wojny znacznego podniesienia kontyngensu rekrutów. Tu musimy zauważyć jeszcze. że jakkolwiek mogło być silnem pragnienie dynastyi oddania wszelkich spraw wojskowych do wyłącznej decyzyi delegacyom, to jednak nie udało się to przy układaniu konstytucyi dualistycznej w zupełności: sejm węgierski zawsze uważał za jedną ze swych najelementarniejszych i najniezbędniejszych prerogatyw – uchwalanie rekruta i wydatków na wojsko, i trzeba mu to było koniecznie pozostawić, a przez analogię – przyznać to samo prawo radzie państwa przedlitawskiej. Potrzeby wojska określają zatem corok delegacye; ale parlamenty muszą corok wstawić do budżetu pozycyę na wojsko i uchwalić pozwolenie na wybieranie rekruta Prócz tego Węgrzy zastrzegli sobie, również na podstawie dawnych, historycznych praw, coś w rodzaju armii narodowej: mianowicie organizacya pospolitego ruszenia, uzbrojenia wszystkich obywateli w celu i na wypadek obrony kraju („honwedy“), pozostała podległą kompetencyi sejmu węgierskiego. Równolegle nadano radzie państwa wiedeńskiej takież prawo względem „landwery“ przedlitawskiej i stworzono, oprócz wspólnego ministeryum wojny, jeszcze dwa ministerya „obrony krajowej“, odpowiedzialne przed parlamentem węgierskim i przedlitawskim, ministerya, do których należy również całe przeprowadzenie poboru, wogóle – wszystkie przygotowawcze, cywilne niejako czynności dla wojska; ministeryum wspólne wojny zarządza natomiast całkowicie wszystkiem, co dotyczy armii czynnej i rezerwy, o ile ta ostatnia jest powołana pod broń. Taką jest ta skomplikowana organizacya, która ma także swoją stronę antydemokratyczną, antyparlamentarną: gdy mianowicie deputowani o jakieś nadużycia w wojsku interpelują ministra obrony krajowej – którego jedynie mają przed sobą – to ten może zawsze powiedzieć, że to należy do ministra wojny, który już delegacyj nie potrzebuje się obawiać.

Tak więc wspólne ministeryum wojny wystąpiło w końcu r. z. z żądaniem powiększenia liczby rekrutów o jakieś 30.000. Gdy parlament wiedeński, zawsze skłonny do okazania swej czarno-żółtej wiernopoddańczości, uchwalił je natychmiast, w ciągu jednej nocy, tak, aby – jak mówiła ironicznie „Arbeiterzeitung“ – cesarz miał tę uchwałę na rano do śniadania zamiast ciastek, to w parlamencie węgierskim sprawa poszła

całkiem. ale to całkiem inaczej. Partya niepodległości (Kossuthowców) rozpoczęła energiczną, gwałtowną opozycyę, oświadczając, że armia wspólna jest antynarodowa, i że trzeba przedewszystkiem unarodowić węgierską część armii. Istotnie, widzieliśmy, że ustawy z r. 1867 złożyły w ręce monarchy prawo zarządu armią węgierską, jako częścią dopełniającą armii wspólnej. Zarząd ten wyraził się, rzecz prosta, w pozostawieniu w całej armii języka niemieckiego, jako urzędowego, wspólnych oznak z orłem habsbursko-cesarskim, w dowolnem przenoszeniu oficerów z Węgier do pułków austryackich, z krajów austryackich do pułków węgierskich, a nawet i całych pułków, wogóle w traktowaniu armii jako jednolitej, ani węgierskiej, ani innej, tylko – cesarskiej. Partya niepodległości nie ma zaufania do takiej armii, uważa ją za ewentualnie niebezpieczną dla narodu. za obce ciało w jego ciele. Korzystając ze sposobności, postawiła ona żądanie następujące w celu unarodowienia armii: przeniesienie oficerów, pochodzących z krajów węgierskich, do pułków węgierskich, zaprowadzenie godeł i sztandarów z herbem Węgier zamiast orła, zaprowadzenie języka węgierskiego w szkołach wojskowych, w sądach wojennych i w stosunkach władz wojskowych z cywilnemi *), wreszcie – komendy i wogóle języka służbowego madziarskiego w wojsku samem. Partya niepodległości jednocześnie twierdzi, że sejm węgierski ma prawo uchwalić to wszystko, ponieważ naród w r. 1867 nie mógł raz na zawsze wyrzec się na korzyść króla swego zasadniczego prawa decydowania o swem własnem wojsku.

Żądania te znalazły odrazu takie echo i poparcie w kraju, jakiego się sama partya niepodległości nie spodziewała. Przywódca grupy „narodowej“ w stronnictwie liberalnem, hr. Apponyi. wystąpił także z szeregiem żądań podobnych, tylko nieco mniej radykalnych (bez komendy węgierskiej) i zgadzając się na ich stopniowe urzeczywistnienie. Rządzące stronnictwo wobec nietajonego nastroju swych wyborców nie miało odwagi oprzeć się stanowczo tym żądaniom. Kossuthowcy, czując zewsząd zachętę, rzucili się do namiętnej obstrukcyi parlamentarnej. Regulamin sejmu węgierskiego umożliwia obstrukcyę w najszerszych granicach, zresztą przewodniczący hr. Apponyi zostawia jej zupełną swobodę. To też trwa ona już pół roku i nic na nią nie można zaradzić, tembardziej, że opinia publiczna jest po jej stronie. Budżetu nie można było uchwalić, więc zaczął się t. zw. (w barbarzyńskiej łacinie) „stan e x l e x“. to znaczy, że cała machina państwowa funkcyonuje nadal, ale tylko faktycznie. nie mając prawa za sobą. Kto chce, może płacić podatki, ale kto nie chce, tego zmuszać nie wolno; tak samo rzecz się ma z posłuszeństwem urzędom i t. d. Prezes ministrów Szell, widząc, że nie poradzi, chciał cofnąć projekt wojskowy; w Wiedniu nie pozwolono mu na to, więc się podał do dymisyi. Mianowany na jego miejsce ban Chorwacyi, znienawidzony tam brutalny madziaryzator i satrapa, hr. Khuen, przekonał jednak sfery wojskowe o konieczności cofnięcia projektu wojskowego. Ale teraz było już zapóźno; teraz już to kryzysu nie zażegnało. Partya niepodległości oświadczyła, że i zwyczajnego kontyngentu rekrutów nie uchwali i wogóle obstrukcyi nie zaprzestanie, dopóki żądania narodowe nie zostaną zaspokojone. Przyjaciel i prawa ręka Khuena, gubernator

*) W pospolitem ruszeniu (honwedach) językiem urzędowym jest już węgierski; w autonomicznej Chorwacyi – chorwacki. W całej Przedlitawii – niemiecki.

Rjeki hr. Szapary, prawdopodobnie za wiedzą i zgodą prezesa ministrów, próbował przekupić pieniędzmi członków opozycyi, ale to się nie udało i wyszło w dodatku na jaw, poczem i Khuen musiał sromotnie podać się do dymisyi. Kto obejmie po nim rządy, w chwili gdy piszemy, niewiadomo jeszcze; wszyscy wpływowi mężowie stanu ze stronnictwa rządowego radzą królowi porobić ustępstwa, ale „wspólne“ sfery wojskowe nie mogą się zdecydować na naruszenie „jedności armii“ oraz wyłącznego prawa korony do zarządu wspólną armią.

Przedstawiliśmy czytelnikowi historyczne i prawno-państwowe tło kryzysu węgierskiego; nad przebiegiem jego szczegółowiej się nie zatrzymujemy, bo to są rzeczy, znane z pism codziennych; natomiast musimy jeszcze rozważyć, co z tego wyniknąć może, i jak my, socyaliści, mamy te wypadki oceniać.

Zwyciężyć opozycyę narodową – nie ma sposobu. Rozwiązanie parlamentu, albo nawet odroczenie, podczas trwania stanu ex lex uważane jest przez teoretyków konstytucyi węgierskiej za niedopuszczalne; władze prowincyonalne, komitatowe, które są wybieralne, mogłyby poprostu odmówić pełnienia czynności urzędowych; żaden prezes ministrów się na to nie zdecyduje, tembardziej, że nowe wybory niechybnie byłyby znacznem wzmocnieniem opozycyi. Zakneblować opozycyę w samym parlamencie niema żadnej możności. Przedłużać do nieskończoności stan ex lex – rzecz to wielce ryzykowna, bo już coraz więcej obywateli przestaje płacić podatki nietylko bezpośrednie, ale nawet odmawiają opłacenia stempla na aktach rządowych, a sądy im akty bez stempla przyjmują! Przytem – niema pozwolenia na pobór rekruta w tym roku, którego termin szybko się zbliża. Wprawdzie ministeryum wojny, na mocy jakiegoś kruczka prawnego, zatrzymuje żołnierzy, którym się tej jesieni służba kończy, do 1 stycznia zamiast do 1 października; ale to wywołuje tylko w następstwie rozgoryczenie żołnierzy, którzy pozwalają sobie już nawet demonstrować przeciw władzy, a 1 stycznia i tak $^1/_3$ stojącego wojska idzie do domu! Złamać zaś konstytucyę, powrócić na Węgrzech do środków absolutystycznych, „zdobyć je na nowo“, jak podobno radzi następca tronu – to doprowadziłoby na Węgrzech, gdzie cała ludność bez wyjątku jest do praw konstytucyjnych i swobód narodowych niezmiernie przywiązana, do następstw zupełnie nie dających się obliczyć. Byłoby jedno wyjście: dywersya wojenna, mobilizacya wojsk, zajęcie zbuntowanej Macedonii; toby się z pewnością sferom dworsko-wojskowym podobało, ale zadrzeć z Rosyą – rzecz zbyt ryzykowna. Jest zatem rzeczą pewną, że – po kilku może jeszcze daremnych próbach zażegnania sprawy, po powołaniu paru nowych Khuenów, z których każdy po paru tygodniach skapituluje – w końcu żądania Węgrów co do unarodowienia armii, choć może nie wszystkie natychmiast, urzeczywistnione zostaną.

Żądania te postawił nie proletaryat, lecz warstwy średnie, proletaryat wrogo traktujące. Stwierdzając już wyżej to ich powodzenie, nie mieliśmy jednak bynajmniej i nie mamy zamiaru już przez to samo wyrazić potępienia tych żądań. Stanowisko takie byłoby najzupełniej fałszywem i nie marxistycznem, nie socyalno-demokratycznem. Historycznem zadaniem warstw średnich było wszędzie urzeczywistnienie zwierzchnictwa ludu, czyli demokracyi na wewnątrz, niepodległości i jedności narodowej nazewnątrz. Gdzie dzieło to nie jest dokonane, tam ono jeszcze dokonane być musi; zwykle mieszczaństwo wyrzeka go się, wskutek czego musi brać je na swe barki proletaryat; jeśli w jakimś kraju samo mie-

szczaństwo walczy jeszcze o jego wykończenie, to socyaliści mogą temu tylko przyklasnąć: będą mieli sami później łatwiejszą pracę. Nasi towarzysze na Węgrzech wprawdzie nie biorą w całej tej walce prawie żadnego udziału; urządzili z początku szereg demonstracyj, w których protestowali przeciwko pomnożeniu wojska w każdym razie, a obecnie od agitacyi partyi niepodległości trzymają się zdaleka, jakkolwiek nie występują przeciwko niej. Tłomaczy się to kilkoma przyczynami: tem, że socyalistyczna partya w kraju, gdzie świadomość proletaryatu jest jeszcze słaba, i gdzie wszystkie kwestye społeczne i robotnicze są przez rząd i społeczeństwo po macoszemu traktowane, za pierwszy swój obowiązek uważa poświęcić wszystkie swe, niezbyt wielkie, siły budzeniu tej świadomości i wysuwaniu tych właśnie kwestyj; tem, że nie ma i mieć nie może zaufania do Kossuthowców, którzy wyzyskują aż nazbyt często hasła patryotyczne przeciw „beznarodowemu“ socyalizmowi i niepewni są nawet pod względem demokracyi, ponieważ nie żądają z całą energią rzeczy najważniejszej – głosowania powszechnego; tem wreszcie, że socyalna demokracya na Węgrzech jest organizacyą robotników nietylko węgierskiej, ale wszystkich zalitawskich narodowości: niemieckiej, rumuńskiej, słowackiej. Otóż tu poznajemy najważniejszą złą stronę „unarodowienia armii“ podług programu Kossuthowców, wynikającą stąd, że warstwy średnie, o ile dążą jeszcze do zdobycia swobody dla własnego narodu, to objawiają przytem instynkty zaborcze i niesprawiedliwość dla narodów innych: „unarodowienie“ to byłoby mianowicie przejściem z deszczu pod rynnę dla narodowości niemadziarskich, bo gdy dziś, przy języku urzędowym niemieckim w wojsku, germanizacya, właśnie dlatego, że nie podoba się panującym Madziarom, jest bardzo słaba, to później madziaryzacya prowadzona by była z użyciem wszystkich brutalnych środków dyscypliny wojennej! Dążeniem socyalistów może być tylko rzeczywiste unarodowienie armii, to znaczy wprowadzenie w każdym pułku i korpusie języka takiego, jakim mówi dostarczająca rekruta ludność. Z językiem ustaliłaby się w każdej części armii i odpowiednia narodowa świadomość. Naturalnie, musiałoby to być połączone i z innemi reformami w armii, ze zniesieniem przerzucania pułków z jednego końca monarchii na drugi, ze zbliżeniem jej do ideału milicyi ludowej. Z zadowoleniem możemy stwierdzić, że „Arbeiter Zeitung“ ogłosiła list oficera, który wyraźnie wypowiadał się za wprowadzeniem języka narodowego w każdej części armii i dowodził przekonywająco, że to tylko powiększyć może jej bitność i wogóle wartość.

Urzeczywistnienia takich dążeń, oczywiście, spodziewać się rychło niepodobna. Pomimo to jednak musimy życzyć zwycięstwa żądaniom teraźniejszym opozycyi węgierskiej. Po pierwsze, choćby już dlatego, że będzie to nowe zwycięstwo zasady parlamentaryzmu i wszechwładztwa ludu nad zmurszałemi resztkami absolutyzmu. Ale głównie dlatego, że mamy tu do czynienia z kryzysem nietylko węgierskim, ale szerszym: z kryzysem całego dualizmu. A dualizmowi życzyć musimy zguby i potępiamy go wraz z całą socyalną demokracyą austryacką nietylko dlatego, że obciąża on niesprawiedliwie powiększoną częścią wydatków „wspólnych“ – ludy przedlitawskie, i tak jęczące pod ciężarem podatków, którym w dodatku (co jest szczególnie ważne dla krajów niemieckich i czeskich) odbiera stopniowo rynek węgierski; i nietylko dlatego, że, jakeśmy widzieli, konstytucya dualistyczna w bardzo chytry sposób uszczupla praw parlamentom i podpiera faktyczny absolutyzm; ale przedewszy-

stkiem dlatego, że stwarza ona dwa centralizmy: wiedeński i peszteński, i w obydwóch państwach – nie załatwioną, jątrzącą się kwestyę innych, przeważnie uciskanych i krzywdzonych narodowości. Przy zawieraniu ugody r. 1867 Beust miał powiedzieć Andrassy'emu: „Oddajemy wam na łup wasze hordy, a zatrzymujemy – swoje“. Hordy – to narodowości inne, przeważnie słowiańskie, nad któremi dualizm stanowi pasterzami – Węgrów tam, tu Niemców, sprzymierzonych ze sobą. Otóż gdy dualizm w końcu upadnie – a do tego prowadzi, między innemi, zmadziaryzowanie części armii – to Węgrzy i Niemcy nie będą już mogli nawzajem liczyć na swą pomoc, i „hordy“ będą mogły przeprowadzić przekształcenie państwa w kierunku równouprawnienia. Chorwaci, Rumuni, Słowacy za Litawą już się budzą i zrywają do walki; zwiększony ucisk narodowy w wojsku tylko ich jeszcze podnieci. Co ważniejsza, zwycięstwo Węgrów będzie zachętą dla narodowości przedlitawskich. Nietylko radykali czescy, ale całe oficyalne stronnictwo młodoczeskie stawia już co do armii – która jeszcze do niedawna była w Austryi świętością nietykalną! – żądania zupełnie takie, jak Węgrzy. Zapewne, po oficyalnych stronnictwach galicyjskich, tych wiernych podporach tronu, czegoś podobnego spodziewać się nie można; ale przecież, pomimo obronnego sojuszu wszystkich Wodzickich z Luegerami, rozwój powstrzymać się nie da, i Austrya — jeżeli naturalnie, ma żyć, jako państwo, i jeszcze przez dłuższy czas nie rozpaść się — będzie musiała przekształcić się na związek żywych i jaknajszerzej autonomicznych narodowości. Tego żąda program socyalno-demokratyczny, to leży i w naszym narodowym interesie, i dla tego cieszymy się z kryzysu na Węgrzech.

Ebehard Esse.

Marksista przeciw Marksowi.

I.

Trzeci tom zbioru pism Marksa i Engelsa w wydaniu Fr. Mehringa zawiera, między innymi, szereg artykułów z „Neue Rheinische Zeitung“ o kwestyi polskiej. Są to artykuły samego Marksa, napisane z powodu „debaty polskiej“ na przedkonstytucyjnem zgromadzeniu Frankfurckiem w roku 1848.

Było to już w kilka miesięcy po stłumieniu powstania poznańskiego; w Księstwie rozwijał już „pacyfikacyjną“ swoją działalność generał Pfuel, znany z piętnowania uszu i rąk pojmanych w boju Polaków kamieniem piekielnym; linia demarkacyjna pomiędzy niemiecką a polską częścią Księstwa wciąż ulegała nowym zmianom, gdyż „sprężysty“ Pfuel pomimo protestów polskiego Komitetu Narodowego coraz nowe okolice przyłączał do Związku niemieckiego. Otóż wtedy konstytuanta niemiecka miała rozstrzygnąć kwestyę polską. Istnieli może jeszcze wtedy zarówno wśród Polaków, jak i Niemców naiwni marzyciele rewolucyjni, którzy sądzili, że w zgromadzeniu frankfurckiem znajdzie oddźwięk idea Mierosławskiego, by Niemcy dla zwycięstwa demokratyzmu europejskiego wypowiedziały Rosyi wojnę o Polskę, ale rzeczywistość złudzenia te szybko rozwiała. Parlament wszechniemiecki umiał wprawdzie jeszcze deklamować o wol-

ności ludów, kilku szlachetnych entuzyastów, w rodzaju Bluma, brało te deklamacye zupełnie seryo, ale na ogół poza czczymi frazesami ukrywała się już najzwyklejsza zaborczość i wyraźna chęć jaknajśpieszniejszego zrzucenia z barków niemieckiego społeczeństwa rewolucyjnych zobowiązań względem Polski.

Zgromadzeni w Frankfurcie przedstawiciele narodu niemieckiego nie dość, że zadali kłam własnym zapewnieniom o odkupieniu zbrodni pierwszych trzech rozbiorów Polski. lecz całkowicie zaakceptowali nawet późniejsze „cztery rozbiory" księstwa, spowodowane ciągłem przesuwaniem t. zw. linii demarkacyjnej.

Marks z właściwą mu jasnością umysłn odrazu ocenił istotny charakter inscenizowanej w Frankfurcie „debaty polskiej".

W długiej seryi artykułów chłoszcze on niemiłosiernym biczem ironii zdradziecką względem Polski politykę Niemców frankfurckich. Goryczą przepojone pióro jego zdaje się sztyletem zatrutym, którego ostrze jadem szyderstwa godzi w bezczelność radzących o Polsce pseudo-uczonych pruskich, w obłudę filistrów niemieckich i naiwność deklamatorów. Odsłoniwszy całą nicość ówczesnego rewolucyonizmu niemieckiego, który już w zarodku swym nacechowany był dążeniami reakcyjnemi, i wykazawszy absolutną jego nieprzydatność do rozwiązania doniosłej kwestyi polskiej, Marks szkicuje w kilku genialnych rzutach własne na tę sprawę poglądy, które płoną tak wielkim ogniem entuzyazmu, że do cna się w nim spalają chłodne mędrkowania rzekomych „idealistów" wszechniemieckich.

W pierwszym rzędzie Marks załatwia się z historycznym referatem niejakiego pana Stencla, „uczonego dziejopisarza". którego obszerne wywody, o pozornie naukowym charakterze, stanowiły punkt wyjścia dla całej dyskusyi.

Udowodniwszy cyframi, jak Stencel już od samego początku sfałszował statystykę ludnościową Księstwa pod względem liczebnego stosunku narodowości polskiej i niemieckiej, Marks przechodzi do omówienia wychwalanych przez referenta „dobrodziejstw" społeczeństwa i rządu niemieckiego. których w żaden sposób niewdzięczni Polacy uznać nie chcą. Wbrew Stenclowi jego krytyk stwierdza, że zarówno dawniejsza, jak i późniejsza kolonizacya miast polskich przez Niemców nie tylko nie przyczyniła się do podniesienia w Polsce kultury i oświaty, ale raczej przeszkodziła postępowemu rozwojowi kraju skutkiem wyodrębnienia się przybyszów od rdzennej ludności – i przyniesienia przez nich do Polski ujemnych cech filisterstwa drobnomieszczańskiego i innych „cnót" niemieckich. „Dobrodziejstwa" zaś rządu pruskiego, świadczone Polakom w ziemiach zabranych, są aż nazbyt znane, by potrzeba było szczegółowo je wyłuszczać. Dość jest uprzytomnić sobie, jaką była biurokracya pruska między 1772 r. a 1806. jej, jak mówi Marks, „nikczemność, sprzedajność, chciwość i brutalność", by już mieć pojęcie o systemie pruskim za czasów Fryderyka Wilhelma II i następcy jego Fryderyka Wilhelma III, o systemie. który polegał na narzuceniu wszystkim klasom społecznym jarzma samowoli policyjnej i skazaniu narodowości polskiej na kompletną zagładę. Dosadna charakterystyka, jaką Marks poświęca temu systemowi, przywodzi na pamięć całą ohydę rządów pruskich w Polsce przed utworzeniem Księstwa Warszawskiego. Usunięcie ludności od udziału w sprawach publicznych, ograniczenie prawa Polaków do nabywania własności ziemskiej, ustanowienie justycyaryuszów rządowych. których powołaniem się stało budzenie niskich instynktów w ludzie wiejskim i odwrotnie pod-

szczuwanie szlachty przeciw chłopom, pozbawienie miast samorządu i poddanie ich zwierzchnictwu t. zw. kamer, t. j. naczelnych magistratur administracyjnych w departamentach, nieznane dawniej w Polsce szykanowanie żydów. dalej wkraczanie administracyi drogą dzikich przepisów policyjnych w najdyskretniejszą sferę interesów domowych, wprowadzenie cenzury na książki i pisma — wszystkie te „dobrodziejstwa“ rządu pruskiego nie są wprawdzie wyszczególnione przez Marksa. ale znakomicie uwydatnione w ogólnej charakterystyce.

Za to obszerniej zatrzymuje się Marks na wyzysku ekonomicznym, jaki uprawiali królowie pruscy w stosunku do ziem zabranych. Przytaczając dokładne cyfry a nawet nazwy majątków, opowiada Marks o grabieży, dokonanej przez skarb państwowy na dobrach duchownych i starostwach. z których utworzono tak zwane „amty“. Amty te, jakoteż skonfiskowane majątki prywatne, wydzierżawiano lub rozdawano Niemcom. którzy ściągnęli do Polski całemi chmarami, przywożąc ze sobą oficyalistów a nawet sprowadzając robotników niemieckich.

A po kongresie wiedeńskim od r. 1815, kiedy nowe zaczęły się rządy pruskie, już w Księstwie Poznańskiem, czyż lepiej się działo? Czy „zreformowana“, „wykształcona“, „niesprzedajna“, „najlepsza“ biurokracya Prus późniejszych przyczyniła się do dotrzymania królewskich obietnic. uroczyście zaprzysiężonych na kongresie? Bynajmniej. System w niczem się nie zmienił. Dopiero po 1840 r., kiedy wichura rewolucyjna przeciągać poczęła przez Niemcy, za Fryderyka Wilhelma IV, złagodniały nieco stosunki. Ale gdy Polacy, ośmieleni częstemi zapewnieniami, że „niemiecki naród (są to słowa Stencla), zawsze pełen współczucia dla każdego nieszczęśliwego (tu Marks wtrąca: dopóki to współczucie nic nie kosztuje). wciąż głęboko odczuwał wielką krzywdę, wyrządzoną Polsce przez jego królów,“ gdy więc Polacy wyraźne postawili żądania, których urzeczywistnienie byłoby właśnie odkupieniem tej głęboko odczuwanej krzywdy, to naraz we wczorajszych przyjaciołach-Niemcach znaleźli zdumionych wrogów, oburzających się na czarną niewdzięczność niepomnącego doznanych dobrodziejstw narodu polskiego. Ciekawy jest złośliwy komentarz Marksa do zawartych w cudzysłowie słów Stencla o tem, że niemiecki naród głęboko odczuwał i t. d.: „Istotnie „głęboko czuły“ ciche niemieckie serca. w których uczucia tkwią tak „głęboko“. że nigdy nie przejawiają się w czynach... Boć rzeczywiście przynieść jakąś ofiarę — gdzież by to było rzeczą Niemców!“

Niedługo trwała idylla polsko-niemiecka. Po wstąpieniu na tron Fryderyka Wilchelma IV (r. 1840) władze pruskie przez kilka lat tolerowały emigrantów polskich, folgowały swobodzie słowa i druku i czyniły najbardziej różowe obietnice społeczeństwu polskiemu. Niemcy przychylnie spoglądali na wzmożoną agitacyę rewolucyjno-demokratyczną wśród Polaków w Księstwie. Wszystko to dało możność Towarzystwu Demokratycznemu rozwinąć w Poznańskiem energiczną działalność za pośrednictwem swoich emisaryuszow. W Poznaniu utworzył się Komitet Centralny, a ten obok Centralizacyi, od której był bezpośrednio zależny, stał się najważniejszym czynnikiem przygotowującego się we wszystkich ziemiach polskich powstania narodowego. Podczas t. zw. „olbrzymiego procesu“ berlińskiego, wytoczonego Mierosławskiemu i 250 współsprzysiężonym a będącego smutnym epilogiem nieudanego powstania 1846 r., sympatye niemców dla ruchu polskiego były jeszcze bardzo żywe. Wrzenie rewolucyjne śród samego społeczeństwa niemieckiego było już tak wy-

datne, że rząd pruski zawahał się wykonać drakońskie wyroki. zapadłe w tym procesie, w połowie listopada 1847 r., i wszystkich zasądzonych, pośród których było 8 skazanych na śmierć. 24 na więzienie dożywotnie i około 100 na nie mniej surowe kary (od kilku do 25 lat więzienia), trzymał w dalszym ciągu w Moabicie, skąd ich zwycięska rewolucya berlińska z tryumfem wyprowadziła 22 marca 1848 r. Nawet w Poznańskiem ludność niemiecka zdawała się sprzyjać porywającemu się do boju o niepodległość ludowi polskiemu. Świadczy o tem owacyjne spotkanie przybyłego do Poznania w celu zorganizowania narodowych wojsk powstańczych Mierosławskiego. W spotkaniu tem brało udział literalnie całe miasto. godła polskie i niemieckie przeplatały się, w obu językach brzmiała pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła.“ Ale zgodność ta polsko-niemiecka wnet dobiegła kresu.

Niemiecko-żydowskie mieszczaństwo za jaką bądź cenę chciało „spokoju“, który niezbędnym mu był dla zyskownego prowadzenia geszeftów. Z tego zaś kontrrewolucyjnego nastroju szybko umiały skorzystać władze pruskie. Rozpoczęła się oszczercza kampania niemieckich i żydowskich pism przeciw powstańcom polskim, którą podsycała biurokracya pruska, by upozorować niedotrzymanie przyrzeczeń, danych przez samego króla deputacyi polskiej i utworzonej w następstwie komisyj reorganizacyjnej.

Dla przeszkodzenia pracom Komitetu Narodowego, który dzięki spopularyzowaniu idei demokratyczno-powstańczych w Księstwie Poznańskiem potrafił w niezwykle krótkim czasie wystawić poważne siły zbrojne polskie, przybył do Poznania generał pruski Willisen. Przywiózł on ze sobą instrukcye królewskie, zmierzające do okłamania Polaków, że Prusy niezawodnie wypowiedzą wojnę Rosyi, że jednak na razie dla skuteczniejszego przeprowadzenia reform, podjętych przez polską komisyę reorganizacyjną należało by rozpuścić oddziały powstańcze. Oszukany przebiegłą polityką prusaków, Komitet Narodowy przystał na proponowane warunki, i w Jarosławcu stanął układ, którego mocą polskie siły zbrojne zostały rozpuszczone, a pozostawiono zaledwie 2800 wojska, rozlokowanego, we Wrześni, Książu, Pleszewie i Miłosławiu.

Układ jarosławiecki był największym ciosem, zadanym zarówno dążeniom Polaków, jak i demokratyzmowi niemieckiemu. Od tej chwili już mowy nie mogło być o wojnie z Rosyą, która była najsilniejszą podporą wszelkiej reakcyi. Ale specyalnie dla Polaków fakt ten miał wprost nieobliczalne następstwa. Uległszy zwodniczym słówkom fałszywych przyjaciół, Komitet Narodowy przeoczył, że zawierając ten układ rozbraja się nietylko wobec Rosyi, ale i wobec „zaprzyjaźnionego“ królestwa Pruskiego. Tak znakomicie przeprowadziwszy instrukcyę berlińską, Willisen, drogą zaczepek, szykan, gwałtów a nawet prostych napadów na oddziały polskie doprowadził, ku wielkiej radości niemiecko-żydowskich Prusaków, do formalnej wojny między polskiemi a królewskiemi wojskami. Pomimo kilku świetnych zwycięstw Mierosławskiego (zwłaszcza pod Miłosławiem i Wrześnią), nieliczne oddziały powstańcze ustąpić musiały przed przeważającemi siłami zbrojnemi Prusaków i ostatecznie pokonane złożyły broń. Władze pruskie nie miały już więcej potrzeby maskowania swoich intencyj. Osławiony Pfuel coraz otwarciej począł uprawiać swoją niecną gospodarkę, której najjaskrawszym wyrazem politycznym było czterokrotne odrywanie dzielnic od Księstwa, aż ono całe prawie zostało włączone do Związku Niemieckiego.

O tych nowych podziałach Poznańskiego Marks mówi: „Pierwsze rozbiory Polski przed r. 1815 były grabieżą krajów z orężem w ręku, rozbiory 1848 r. są zwykłą kradzieżą.“

A jednak tę kradzież w zupełności zaakceptował „rewolucyjny“ parlament frankfurcki, który, pomimo łudzących pozorów, był, przynajmniej w kwestyi polskiej, najzwyklejszym odgłosem monarchiczno-zaborczej polityki pruskiej. Rozważając pobudki, jakiemi mogło się kierować w tym razie narodowe zgromadzenie niemieckie, Marks nie może się powstrzymać od uszczypliwej uwagi, że dla zasiadających tam „profesorów, adwokatów i pastorów“, którzy nigdy strzelby w ręku nie mieli, było zbyt wielką pokusą zawojować rozległy kraj przez proste powstawanie z miejsc lub podniesienie rąk, choćby to się nawet stać miało kosztem honoru i istotnych, trwałych interesów Niemiec. Pokusie tej nie oparła się konstytuanta frankfurcka, skutkiem czego Marks taką żywi dla niej pogardę, tak bezlitośnie drwi z wszystkich mówców, począwszy od „nigdy nie tającego prawdy“ pedantycznego historyka i blagierow-literatów, a skończywszy na eleganckich gentlemanach i już wcale nie przyzwoitych drobnomieszczuchach, że staje się nawet niesprawiedliwym względem takiego Bluma albo Ruge'go, którzy po za frazesami nie mogli się zdobyć na znośne i przekonywające uzasadnienie konieczności uniezależnienia Polski. Jedynie wystąpienie prawdziwego rzecznika Polski (Janiszewskiego), który w porywającej ale nie deklamatorskiej mowie obalił wszystkie bezwstydne argumenty przeciwników, znajduje gorący poklask u Marksa. Rzetelnie przejęty sprawą polską, Marks cieszy się, że Janiszewski rzucił zgromadzeniu w twarz dumne słowa: „Przychodzę do was, nie jako żebrak, przychodzę ze słusznem prawem swojem; nie sympatyi się domagam, lecz sprawiedliwości.“

Jeden Janiszewski umiał wyznaczyć tak zwanej kwestyi poznańskiej właściwe miejsce i tem głównie podobał się Marksowi. Wedle Marksa bowiem była ta kwestya tylko fragmentem kwestyi polskiej i z nią razem powinna była być załatwiona.

Osią dyskusyi polskiej we Frankfurcie było ustalenie albo zniesienie granicy między Związkiem niemieckim a Księstwem Poznańskiem. Otóż Marks mówi: „Granicę między Niemcami a Polską dopiero wtedy będzie można określić, kiedy Polska znów istnieć będzie“; w ten sposób staje on wobec zagadnienia zupełnie pominiętego w Frankfurcie, czy odbudowanie Polski jest możliwe. Na pytanie to odpowiada Marks nie tylko twierdząco, ale przychodzi jeszcze do wniosku, że istnienie niepodległej Polski jest konieczne, o ile Europa, a w pierwszym rzędzie Niemcy naprawdę chcą uratować swój demokratyzm. Jakiś francuski historyk powiedział: Il y a des peuples nécessaires. Takim właśnie „niezbędnym narodem“ są, podług Marksa, Polacy.

Reakcya europejska od r. 1815, a nawet już od wielkiej rewolucyi francuskiej główne swe siły czerpała z „świętego przymierza“ trzech mocarstw, które wspólnemi siłami dokonały rozbiorów Polski. Poszarpanie Polski połączyło je wspólnym łańcuchem interesów: „wspólny rabunek wytworzył pomiędzy niemi wzajemną solidarność“. Od upadku Polski Rosya narzuciła swój absolutyzm dwóm innym państwom rozbiorczym, które dla utrzymania w niewoli swoich polskich zaborów poddały się temu, godząc się w tym celu nawet na bezwzględne tłumienie jakiejkolwiek opozycyi w swoim własnym domu. Najbojaźliwsze np. próby burżuazyi pruskiej zdobycia niejakiego udziału w rządach zawsze rozbijały się o tę

zależność od Rosyi. Polacy, którzy jasno zdawali sobie sprawę, że rozbiory ich ojczyzny umożliwione były, jedynie dzięki sojuszowi polskiej arystokracyi feudalnej z rządami mocarstw zaborczych, pierwsi zrozumieli ścisły związek, zachodzący pomiędzy podziałami Polski a reakcyjnemi tendencyami Rosyi. Bezpośrednim skutkiem tego, już w epoce rozbiorów było zbliżenie się w Polsce pozostałych klas społecznych – szlachty, mieszczaństwa a częściowo także włościan dla wspólnej walki zarówno z ciemięzcami jakoteż z arystokracyą. Począwszy od konstytucyi 3 maja 1791 r., Polska powstańcza dąży stale do rewolucyi agrarnej, która niedostatecznie podkreślona w 1794, zapóźno podniesiona w r. 1831, otwarcie już jednak była proklamowana w ruchach narodowych 1846 i 1848 r. Od powstania krakowskiego 1846 r. – powiada Marks, reasumując swoje poglądy – jest walka o niepodległość Polski zarazem walką demokracyi z patryarchalno-feodalnym absolutyzmem. Dopóki więc ludy przyczyniają się do gnębienia Polski, dopóty nie uwolnią się od przewagi rosyjskiego absolutyzmu, a przedewszystkiem dotyczy do Niemiec. „Utworzenie demokratycznej Polski jest pierwszym warunkiem utworzenia demokratycznych Niemiec.“ Możliwość uskutecznienia tego była bardzo wielka, drogą niemiecko-polskiej wojny z Rosyą. Ale tej możliwości, która była zarazem koniecznością, dla demokratyzmu niemieckiego parlament frankfurcki uznać nie chciał, i na tem głównie polega jego charakter reakcyjny. Wydając Polskę na łup despotom, wydał on zarazem lud niemiecki na łup reakcyi. Stało się, ale (powtarza Marks za Janiszewskim, zwracając się z apostrofą do prawodawców frankfurckich) „wyście Polaków połknęli, lecz nie strawicie ich, na Boga!“

II.

Streszczone powyżej artykuły Marksa o kwestyi polskiej a także obszerny artykuł Engelsa o „demokratycznym panslawizmie“, który zawiera, między innemi, takie same poglądy na Polskę, stały się przedmiotem niezwykle bezwzględnej krytyki ze strony... jednego z najfanatyczniejszych wyznawców obu tych twórców materyalistycznego pojmowania dziejów. Krytykiem tym jest sam wydawca zbiorowych pism Marksa i Engelsa. Wydając dawne prace publicystyczne mistrzów nowoczesnego socyalizmu, Mehring z słusznym pietyzmem zaopatrzył niektóre z nich, zwłaszcza traktujące o mniej znanych lub przebrzmiałych tematach, mniej lub więcej obszernemi wyjaśnieniami, niezbędnemi dla dzisiejszego czytelnika. Sposób jednak, w jaki został napisany przezeń największy komentarz do artykułów „polskich“, jest tak zadziwiający, że sprawia wrażenie, jakgdyby jakiś nie tyle uczony, ile zarozumiały marksista z tanim tryumfem załatwiał się z pisarzem, nie mającym pojęcia o materyalizmie historycznym.

Taki stosunek zapalonego marksisty do prac Marksa i Engelsa pozostałby zagadką nie do rozwikłania, gdyby sam Mehring nie naprowadził nas na powody tak niezwykłego w nim „krytycyzmu“. Okazuje się, że wszystkie swoje wiadomości z dziejów Polski, całokształt poglądów na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość narodu polskiego zawdzięcza Mehring – zgadnijcie komu – p. Róży Luxemburg. Uczynna ta osoba nie tylko dostarczyła mu wszystkich swoich prac drukowanych, w których z błotem zmieszane jest wszystko, co ma jakąś wspólność z imieniem polskiem. lecz nawet uszczęśliwiła go rękopisem niewydanej dotąd (jaka szkoda!),

a własnemi jej rękoma napisanej historyi Polski (!). (Patrz: III tom zbioru pism Marksa i Engelsa, Stuttgart. 1902: uwagi Mehringa, str. 268). Naturalnie, nie omieszkała go ona oświecić jeszcze trochą ustnych już kalumnii na dawniejszy i dzisiejszy rewolucyonizm polaków. Dopiero otrzymawszy tę wiadomość, otrząsa się czytelnik komentarza Mehringowego ze zdumienia. Pojmujemy już, dlaczego wyrachowanie i zimne tchnienie tych kart tak się kłócą ze szlachetnym tonem całej książki, a zwłaszcza z tym płomieniem natchnionego szyderstwa i gorącej miłości, jaki bucha z artykułów Marksa. Pojmujemy uporczywą i zarazem wstrętną niechęć do przyznania, że bodaj cośkolwiek było dobrego w rozpaczliwych i bohaterskich zapasach rozćwiartowanej Polski z potrójnemi potęgami piekła absolutyzmu, a dalej ową zaciekłość, nie cofającą się nawet przed niedorzecznem prostowaniem, jako błędów, najrzetelniejszych danych, sumiennie zgrupowanych przez ludzi tej miary, co Marks i Engels, przed których wielkością w każdym innym wypadku ten sam Mehring łącznie z panią Luxemburg z większą przecież od innych pokorą padają na twarz.

W „krytycznej“ wycieczce, podjętej przez tych dwojga marksistów contra Marks, słychać odgłosy walk programowych, co zresztą bardzo dobitnie zostało zaznaczone gdzieindziej, przez ludzi, którym to właśnie przypadło do smaku. Dla nas jest to jeszcze jednem obniżeniem pseudonakowej pracy, mającej na celu rozpowszechnienie śród niemieckich socyalistów właściwych poglądów na mało znaną im kwestyę.

Nim jednak przejdziemy do omówienia tych „właściwych“ poglądów, mających zabójczo oddziałać na marksowe pojmowanie kwestyi polskiej, z którem tak „niekrytycznie“ godzili się Engels, Liebknecht a nawet Kautsky, musimy się zająć żmudną i niewdzięczną robotą sprostowania niezwykłego mnóstwa błędów, które w swoim zarysie dziejów Polski popełnił biedny Mehring, zaczerpnąwszy całą swoją wiedzę „polską“ z kilku pamfletów p. Róży Luxemburg; głównie zaś postaramy się wykazać niedorzeczność „sprostowań“ zastosowanych przez Mehringa do rzekomych błędów Marksa i Engelsa, którym ten „luksemburski“ uczony ośmiela się zarzucić, że dla znajomości historyi polskiej korzystali z dzieł Lelewela i Mierosławskiego.

Oddawszy półgębkiem sprawiedliwość redakcyi „Neue Rheinische Zeitung“ za to, że ta zrozumiała, jak doniosłą dla ogólno-europejskiej rewolucyi mogła by się stać wojna z Rosyą w r. 1848, Mehring zaznacza, że pod każdym innym względem artykuły Marksa o Polsce nietylko nie mają trwalszej wartości, ale są wprost przeładowane błędami. Na dowód zaraz przytacza następujące zdanie Marksa: „Wolność handlowa między trzema zaborami Polski, którą kongres wiedeński tem spokojniej mógł uchwalić, im niemożliwszem było jej przeprowadzenie, naturalnie nigdy nie weszła w życie“, i z lakonizmem, godnym słuszniejszej sprawy, dodaje, że faktycznie wolność ta handlowa przetrwała aż do powstania listopadowego i w znacznym stopniu przyczyniła się do rozwoju przemysłu, zwłaszcza tkackiego w Królestwie kongresowem. Gdyby jednak Mehring zadał sobie nieco trudu i zajrzał do pierwszego lepszego podręcznika historycznego, to dowiedział by się, że nie on, lecz Marks ma w tym razie słuszność, że jakkolwiek oficyalnie car Aleksander I zniósł rzeczoną wolność granic dopiero ukazem z dnia 17 marca 1823 r., to faktycznie wolność tę łamały wszystkie rządy zaborcze od samego początku. Na rozwój zaś przemysłu w Królestwie raczej zamknięcie granic zachodnich wpłynęło, czego dowodem jest intensywne przenoszenie całych zakładów prze-

mysłowych z za kordonu do Królestwa. Niepotrzebnie Mehring w dalszym ciągu daje materyalistyczno-historyozoficzną nauczkę Marksowi i Engelsowi, bagatelizując ich rzekome twierdzenie o niezdolności Słowian do przemysłu. Tymczasem w owych artykułach jest tylko mowa o tem, że Słowianie, jako ludy przeważnie rolnicze, są mniej przydatni do handlu, niż Żydzi i do przemysłu, niż Niemcy. Właśnie tem Marks wytłómaczył żydowsko-niemiecki charakter miast w dawnej Polsce. Polemizując z poglądami „Neue Rheinische Zeitung“ na kolonizacyę niemiecką w Polsce, Mehring usiłuje osłabić zarzucony przez Marksa mieszczaństwu niemieckiemu szkodliwy wpływ na rozwój Polski wskazaniem na to, że książęta polscy. klasztory, biskupi i magnaci sami po splądrowaniu kraju przez Tatarów zainicyowali imigracyę niemiecką. Nikt, a najmniej Marks temu nie będzie przeczył, nie przeszkadza to jednak faktowi, że właśnie dobrowolne z początku odseparowanie się tego mieszczaństwa od reszty społeczeństwa było brzemienne w opłakane skutki dla politycznego rozwoju Rzeczypospolitej. Zasklepione w swojem własnem środowisku mieszczaństwo niemieckie spoglądało na toczące się dokoła walki możnowładztwa z królem i szlachty z możnowładztwem, jako na zupełnie sobie obce, i najlżejszych nawet nie poczyniło prób, by z powstawaniem parlamentaryzmu polskiego zdobyć jakikolwiek udział w rządach. Później zaś, kiedy z rozwojem handlowym i z rozkwitem wielu miast większych, spolszczone mieszczaństwo wystąpiło z roszczeniami politycznemi, było już zapóźno, gdyż sejmy bezwzględnie opanowała już szlachta, rozpocząwszy swoją klasową politykę, której smutnym epilogiem było niewolnictwo chłopów i upadek miast.

Wspomnieliśmy o rozwoju handlowym i rozkwicie miast, które przypadają w Polsce na wiek XV i XVI. Otóż musimy podkreślić, że pod względem oryentowania się w historyi miast polskich jest Mehring kompletnym ignorantem, pomimo zebranych zkądciś kilku dat chronologicznych. Ten materyalista dziejowy w danym razie zbyt polega na wyczytanych gdzieś ułomkach konstytucyj sejmowych, nie uwzględniając że właśnie częste ich powtarzanie świadczy, iż samo życie nieraz kłam zadawało normom prawnym; pozatem pozbawiony zupełnie perspektywy historycznej, tropi on „upadek miast“ od samego początku dziejów polskich, tak że w końcu już absolutnie nie rozumiemy, jak mógł upaść handel lub przemysł, którego nigdy nie było, i jak mogły zniszczeć miasta, które się nigdy nie rozwijały. Marks dowodzi, że skutkiem sadowienia się w miastach Rzeczypospolitej niemieckich przybyszów nie mógł w Polsce powstać własny stan trzeci, co źle musiało wpłynąć wogóle na losy kraju, i tylko w ten sposób należy brać jego zarzut przeciw mieszczaństwu niemieckiemu, zarzut, który był polemiczną odpowiedzią na argumenty Stencla, wychwalającego „dobrodziejstwa“. wyświadczone przez Niemców Polsce. Tymczasem Mehring, który w tej sprawie snać bardziej się zgadza z owym Stenclem niż z Marksem, używa całej swojej zdolności dyalektycznej, by oczyścić rzekomo oczernione mieszczaństwo niemieckie. Niewiadomo tylko, poco w tym celu on, niepowołany, chce gwałtownie przekonać swoich czytelników o rzeczy, której najreakcyjniejszy nawet historyk Polski kwestyonować nie będzie, t. j. że polityka szlachecka podkopała rozwój miast i wogóle życia ekonomicznego w Polsce. Powtarzamy, niewiadomo po co Mehring to czyni, broniąc mieszczaństwa niemieckiego, boć chyba nie dla uwydatnienia swojej ignorancyi. Efekt komiczny jego zabiegów polega na tem, że nawet dla słusznej sprawy nie

znajduje słusznych argumentów. W jedną kupę zsypuje on mnóstwo praw sejmowych, z pośród których jedne raczej do podniesienia handlu się przyczyniły, niż do zatamowania go (np. prawo o swobodnym dostępie do miast polskich kupców cudzoziemskich), inne były zbyt krótkotrwałe, by mogły mieć jakieś znaczenie (np. próba ograniczenia kompetencyi cechów, którą Mehring zbyt pośpiesznie nazywa „zniesieniem cechów“), inne wreszcie, wbrew intencyom prawodawców szlacheckich, absolutnie nie szkodziły rozwojowi miast, o ile temu tylko sprzyjały inne warunki. Do tej ostatniej kategoryi praw najśmielej zaliczyć można konstytucyę sejmową z r. 1776, pozbawiającą mniejsze miasta t. zw. magdeburgii, t. j. samorządu i poddającą je zarządowi starostów. Prawo to, które, nawiasem mówiąc, u Mehringa wygląda tak, jakby conajmniej kilka wieków istniało i ostatecznie zniszczyło miasta polskie, wnet zostało zimunizowane przez nader pomyślną dla miast działalność departamentu skarbowego Rady nieustającej i „komisyi dobrego porządku,“ wyznaczonych przez króla dla uporządkowania gospodarstwa miejskiego. Raz jeden tylko istotnie udaje się Mehringowi wskazać ważną przyczynę społeczną niemożności rozwoju miast w Polsce, ale i w tym razie wpada w rażący błąd, gdyż sam nie rozumie charakteru podkreślonego przez siebie zjawiska. Mówi on mianowicie o tem, że miasta w Polsce nie mogły się stać tak jak w pozostałej Europie miejscem odpływu dla proletaryatu szlacheckiego. Zamiast jednak wskazać na kolonizacyę Litwy i Rusi przez podupadłą szlachtę polską, jako na główny, a bodaj jedyny tego powód, tłomaczy on to zjawisko wyższością kulturalną (sic) mieszczaństwa niemieckiego nad szlachtą polską. Myśl ta, w chwili historycznego „natchnienia“ wyssana z palca, widocznie bardzo się podobała autorowi, skoro po kilku stronicach jeszcze jaskrawiej ją podkreśla, mówiąc o XV wieku: „... niemieckie drobnomieszczaństwo znajdywało się w porównaniu ze szlachtą polską na zbyt wysokim stopniu kultury.“ Jakżeż zabawne jest to zestawienie ciemnych kolonistów niemieckich, których głód pędził po bożym świecie, z świadomą swoich interesów i godności obywatelskiej klasą społeczną, która pod przewodem wykształconych agitatorów prowadziła właśnie wtedy niezmordowaną walkę z możnowładztwem i władzą królewską! Szlachta polska XV w., która całym szeregiem „demonstracyj“ zbrojnych zdobyła sobie wielką chartę wolności w postaci przywileju nieszawskiego, petitów opockich i t. d., może nam być wstrętną swoim silnie już przejawiającym się egoizmem klasowym, wymierzonym w napół wolne jeszcze wtedy włościaństwo, ale nikt jej nie zaprzeczy, że pod względem kultury wyżej stała od drobnomieszczaństwa niemieckiego.

Nawiasowo zaznacza też Mehring, że „Neue Rheinische Zeitung“ przesadza, albo wprost podaje nieprawdę, twierdząc, że masy prześladowanych za przekonania religijne w Niemczech znajdywały przytułek w Polsce. Złośliwe uwagi o tem, jakoby osławiona tolerancya Polski nigdy nie istniała, są tak oburzające, że mimowoli budzi się w nas posądzenie, iż w tym wypadku już nie ignorancya mówi przez Mehringa, lecz zła wola. Bo czyż podobna, aby człowiek, nie pozbawiony logiki, odpierał twierdzenie o niezwykłej tolerancyi Polski przez kilka wieków, aż do ostatecznego zwycięstwa reakcyi katolickiej, jedynym przykładem ohydnego procesu toruńskiego w r. 1724, który to proces nawet dla epoki saskiej nie może być uważany za coś typowego. Wogóle im dalej zapędza się Mehring w krytykowaniu Marksa, tem więcej okazuje złej woli

względem Polski. Upadek Rzeczypospolitej wydaje mu się nie aktem przemocy, lecz „ganz selbstverständlich“. Z jakiemś złem szyderstwem ośmiela się ten „historyk“ skonstatować, że pierwszy rozbiór Polski nie kosztował państw zaborczych ani jednej kropli krwi. Nie możemy dokładnie powiedzieć Mehringowi, ile krwi rosyjskiej przeleli przez cztery lata (1768–1772) konfederaci barscy, albo ile straciły krwi oddziały pruskie i austryackie po wkroczeniu do Polski, dopóki jeszcze konfederacya się trzymała, ale wymagać by można, żeby piszący o rozbiorach Polski wiedział, że każdy z nich był dopiero rezultatem stłumienia ruchu zbrojnego: Pierwszy rozbiór nastąpił po rozbiciu konfederacyi barskiej, drugi po akcesie króla do Targowicy i zduszeniu przezeń wojny 1792, trzeci wreszcie po stłumieniu powstania Kościuszkowskiego. Wielce charakterystycznem jest dla Mehringa traktowanie „epoki reform“ po pierwszym rozbiorze. Najmniej skłonni jesteśmy do zbytniego idealizowania szlachty ówczesnej, która pomimo znacznego zrewolucyonizowania się i szczerej myśli o naprawie Rzeczypospolitej przez pomnożenie sił zbrojnych, wzmocnienie skarbu, ograniczenie swawoli magnatów, podniesienie szkolnictwa, dopuszczenie do rządów mieszczaństwa, ulżenie losu Żydom a nawet chłopom i t. d., zachowała jednakże anarchistyczne skłonności okresu poprzedniego i nie mogła zerwać z naturalną pochopnością do warowania swoich interesów klasowych. Dobrze wiemy, że nawet, kiedy Kościuszko proklamował powstanie narodu polsktego, które miało być „walką wolności z despotyzmem, słuszności z niesprawiedliwością i niepodległości z tyranią“, potrafiła ta szlachta wstawić do aktu powstańczego znany artykuł 11, zabraniający dyktatorowi stanowienia takich praw, które by zasadniczo zmieniały konstytucyę narodową.

Wiedząc o tem, musimy w pierwszym rzędzie napiętnować pogardliwe traktowanie przez Mehringa tak promiennego szermierza wolności i demokratyzacyi ludów, jakim był Kościuszko, który w swoim uniwersale połanieckim uczynił dla rewolucyonizmu polskiego więcej, niż przy ówczesnym układzie sił społecznych spodziewać się można było.

Następnie zaś mieliśmy prawo spodziewać się, że marksista, zamiast zadawać bezpodstawny kłam twierdzeniu Marksa, iż w epoce reform radykalna szlachta szła w swojej walce ręka w rękę z mieszczaństwem i częścią chłopów, postara się sprawdzić, czy fakty historyczne nie przemawiają czasem za słusznością tego twierdzenia. Mehring nic nie wie o opozycyjnym ruchu miast polskich w epoce sejmu czteroletniego; nieznana mu jest wielka demonstracya 141 miast, które w r. 1789 przysłały do Warszawy 269 delegatów, czyli t. z. „czarna procesya“, która swoim stanowczem zachowaniem się w stolicy przyspieszyła emancypacyę polityczną mieszczan; niewiadome są mu ani bliskie stosunki działaczy mieszczańskich w Warszawie z lewicą sejmową, ani też późniejsze (w r. 1794) ruchy rewolucyjne Warszawy, Wilna, Krakowa i innych miast. Co do chłopów, to godziło by mu się wiedzieć, że już z samego początku powstania 1794, kiedy regularna armia Kościuszki wynosiła zaledwie 4.000 ludzi, w przeciągu kilku dni przyłączyło się do niej 2.000 chłopów, których spora część bohatersko się odznaczyła w bitwie pod Racławicami.

Widzimy tedy, że Marks nic gołosłownie nie twierdził, a bo też znał dzieje Polski, jak powiada Mehring, z Lelewela i Mierosławskiego, gdy tymczasem krytyk jego zna te dzieje ze słów p. Luxemburg. Nawet ocena konstytucyi 3 Maja była by inną, gdyby Mehring choć trochę się orjentował w stosunkach. Cóż jednak z tego, skoro jemu chodzi je-

dynie o zohydzenie tych sfer ówczesnego społeczeństwa polskiego, które Marks nazwał rewolucyjnemi. Niefortunnie tylko wybrał w tym celu odrzucenie na sejmie r. 1780 projektu Zamojskiego, będącego kodyfikacyą praw cywilnych i kryminalnych. Zamojski w swoim „Zbiorze praw sądowych“ przekroczył granice prawa prywatnego i naszkicował reformę stosunków włościańskich i miejskich. Ponieważ jednak to wszystko przeczyło konstytucyi, zagwarantowanej przez Moskwę na sejmie 1774, więc za wpływem ambasadora rosyjskiego Stackelberga jurgieltnicy moskiewscy z nakazu dworu petersburskiego z gwałtownością odrzucili projekt, godzący w gwarancyę, i z zajadłością nawet podarli księgę praw. Mehring, który nawiasem powiedziawszy i tu popełnił błąd, bo zamiast o sejmie 1780 mówi o r. 1778, nie w porę wybrał się z tym przykładem, gdyż, jak to zobaczymy niżej, ma on sprzedawczyków-targowiczan za wyrazicieli postępu historycznego, a tu oni właśnie wystąpili w całej swojej reakcyjnej nagości.

W dalszych swoich objawieniach w kwestyi włościańskiej w Polsce Mehring pokpiwa sobie z poglądu Marksa, podług którego idea rewolucyi agrarnej była imanentnie związana ze wszystkiemi naszemi powstaniami narodowemi. Szczególniej śmieszną wydaje mu się myśl, jakoby ruchy 1846 i 1848 r. otwarcie tę rewolucyę proklamowały. Przypomina on sobie rzeź galicyjską 1846 r. i w niej znajduje dowód (!) nieprawdziwości tego twierdzenia. Sądzi on, że „nonsensem“ jest przypisywać wywołanie tej rzezi rządowi Metternichowskiemu, że tylko „junkrzy polscy“ mogą takiemi bredniami okłamywać świat. I to pisze człowiek, pozujący na historyka, w r. 1902, po ogłoszeniu kupy autentycznych rządowo-austryackich dokumentów i pamiętnika ówczesnego starosty tarnowskiego, które najwyraźniej przekonywują, że „rok Szeli“ był jedynie i wyłącznie zemstą Austryi na polskich powstańcach za proklamowanie rewolucyi ludowej!

Ale dość na razie tego piętrzenia błędów, niedorzeczności i świadomych czy nieświadomych kłamstw Mehringa! Jakkolwiek dziwnem może się wydawać, że pisarz, będący zupełnym ignorantem w rzeczach historyi polskiej, zabrał się do stawiania horoskopów na przyszłość naszemu narodowi i ruchowi robotniczemu, to jednakże ze względu na książkę, w której mieszczą się jego poglądy, musimy zająć się ich rozpatrzeniem. przyczem jeszcze niejednokrotnie zetkniemy się z rażącemi fałszowaniami faktów historycznych, popełnionemi przez tegoż Mehringa.

III.

Mehring jest marksistą, ale z tych, co to są plus catholiques que le pape. Pomijam już, że nie przychodzi mu wcale do głowy, iż mistrzowie materyalizmu dziejowego — Marks i Engels nie wbrew, lecz właśnie skutkiem swojej koncepcyi historyozoficznej mieli takie a nie inne zapatrywania na kwestyę polską: toć nie tylko w 1848 r., ale znacznie później, kiedy teorya ich była już całkowicie skrystalizowana i kiedy Mehring trwał jeszcze w „burżuazyjnych błędach“, uczeni ci i najbardziej konsekwentni ich kontynuatorowie głosili zupełnie te same poglądy. Nie możemy jednak nie podkreślić płytkości tego sposobu, w jaki on w swoim artykule stosuje do dziejów Polski materyalizm Marksa. Tak postępuje nie wyznawca wszechstronnej i głębokiej teoryi, lecz niewolnik formuły, szablonu. Otrzymujemy wrażenie, że ponieważ wszystko, co się stało, było nieuniknione, a wszystko co jest, musiało nastąpić z koniecznością,

zatem nad największemi nawet krzywdami trzeba przejść do porządku dziennego i patrzeć jeno. rychło li. dajmy na to, klasowe interesy burżuazyi polskiej w Poznańskiem zmuszą ją do „zasymilowania się“ z burżuazyą niemiecką.

Ta sama płytkość zniewala go do nienaukowego szukania w dziejach Polski koniecznie tych samych walk klasowych czy stanowych, które były sprężyną rozwoju społeczeństw europejskich. Nie znając albo nie pojmując faktów, czyni pospieszne wnioski, przynoszące tylko ujmę tej znakomitej metodzie historycznej. której jest nieumiejętnym wykładaczem. I tak, np. po za stwierdzeniem, że w Polsce nie było stanu mieszczańskiego, który by podjął walkę klasową przeciw uprzywilejowanemu stanowi rycerskiemu, Mehring ujawnia absolutne niezrozumienie przyczyn rozwoju i upadku parlamentaryzmu polskiego. Nadużywając wyrazu „Kliquen-krakehl“, pod którym pojmuje kłótnie koteryjne między możnowładztwem a szlachtą, Mehring tę jedynie jakoby uzewnętrzniającą się w Polsce konkurencyjność polityczno-społeczną podaje, jako główną przyczynę upadku Rzeczypospolitej.

Nawiasem zaznaczyć tu należy doniosłą sprzeczność w niepogłębionych przez wiedzę historyczną wywodach Mehringa. Charakteryzując poraz pierwszy ten „Kliquen-krakehl“. uważa go on, w przeciwstawieniu do istotnych walk klasowych, nie za starcie się dwóch systemów gospodarczych, lecz za zwykły wyścig konkurencyjny przedsiębiorców i tem nawet objaśnia, że rezultatem tych waśni nie mógł być w żadnym razie postęp historyczny. Natomiast w innem miejscu, gdzie wymienia zgubny wynik tego antagonizmu dla samego istnienia Polski, podnosi z naciskiem, że w nim możnowładztwo, to samo zresztą możnowładztwo, które sprzedawało ojczyznę obcym mocarstwom, reprezentowało właśnie nowy, postępowy system gospodarczy, i, skądinąd słusznie tłomacząc tem liberalniejszy stosunek niektórych. np. targowiczan do chłopstwa, zupełnie jednak fałszywie upatruje w sprzedawczykach wyrazicieli postępu historycznego wogóle.

Dłużej nie zatrzymamy się wszakże na tej sprzeczności, gdyż co do symptomów upadku Polski zupełnie innego jesteśmy zdania, przyczem chcielibyśmy jaskrawo oddzielić upadek parlamentaryzmu polskiego od upadku samego państwa. Rozwój i zanik parlamentaryzmu w dawnej Rzeczypospolitej polskiej nie jest jeszcze dostatecznie wyświetlony przez historyków. Ale bądź co bądź dotychczasowe materyały uprawniają do następujących wniosków. Rozpoczęta w XIV jeszcze wieku walka arystokracyi z władzą królewską rokowała zwycięstwo tej stronie, która zdoła przyciągnąć do siebie masę szlachecką. I otóż jak w zachodniej Europie królowie z walki z panami feodalnymi wyszli zwycięzko przez oparcie się na silnym stanie miejskim, tak znowu w Polsce wzięło górę możnowładztwo nad władzą królewską, wziąwszy na siebie orędownictwo interesów nie mniej silnego stanu rycerskiego. Z tego splątania walk i antagonizmów polityczno-społecznych najgorzej wyszło przedewszystkiem włościaństwo polskie, którego kosztem, zwłaszcza od końca XV w. dobijały swoich targów kłócące się siły społeczne, ale, rzekłbym, i nie lepiej władza królewska, która utrzymała się jeszcze wprawdzie dość długo na odpowiedniej wysokości. czy to dzięki tradycyom dynastycznym. czy też energią poszczególnych królów, ale na ogół niepowetowany poniosła szwank. Co zaś do możnowładztwa, to zwycięstwo jego było na razie pozorne tylko. bo nie mogąc opanować narzędzia, którem się przeciwko

władzy królewskiej posługiwało, musiało się zgodzić na niezwykłe zdemokratyzowanie, w obrębie szlacheckiego narodu, konstytucyi państwowej.

W rezultacie tryumfowały masy rycerstwa, które też powołały do życia jedyny może w Europie średniowiecznej ustrój polityczny, co prawda dla jednego tylko stanu istniejący, ale za to w tym stanie oparty na zasadach idealnej wolności i równości. Z biegiem czasu wielkie rody możnowładcze, wzbogacone głównie skutkiem politycznego rozrastania się państwa polskiego na wschód, korzystając z absolutnej słabości władzy królewskiej, faktycznie rządzić się poczęły na wzór udzielnych panów feodalnych i zawsze czyniły to wbrew demokratycznej konstytucyi szlacheckiej, której piastunem było rycerstwo średnie. Prawo państwowe nie znało feodalizmu, faktycznie zaś istniał on w XVII i XVIII wieku. Poszczególni magnaci prowadzili formalne wojny między sobą o granice, wpływy i t. d. I oto zaczyna się łamanie konstytucyi, wyzyskiwanie najkrańcowszych jej cech wolnościowych i demoralizowanie gminu szlacheckiego, czyli t. zw. hołoty, która ulegała zarówno urokowi imienia magnackiego, jakoteż cudownemu działaniu fortun magnackich. Był więc „Kliquenkrakehl“, ale zupełnie inny, niż chce Mehring, była wzajemna walka między przypadkowemi koalicyami rodów możnowładczych, tocząca się orężnie i w sejmie, przy pomocy zdemoralizowanego i sprzedajnego gminu szlacheckiego. Zatargi te, w których tendencye postępowe reprezentowali, odpowiednio do przemijających interesów egoistycznych, raz jedni, to znów drudzy, zaprzepaściły parlamentaryzm polski i przyczyniły się do interwencyi sąsiednich despotycznych rządów. I dlatego to szlachta średnia, szczególniej obudzona do świadomszego życia przez wiew rewolucyjny, nadciągający z Francyi, w ostatnich dziesięcioleciach wieku XVIII połączyła się z mieszczaństwem dla zreformowania konstytucyi, bo w tem słusznie widziała jedyną możność odparcia obcej przemocy. Gdyby Mehring to wszystko rozumiał, to zdobył by się na lepszą ocenę sejmu czteroletniego i konstytucyi 3 maja, których pomyślne skutki nie mogły zapobiedz upadkowi państwa i wypaczeniu nowoczesnego jego rozwoju jedynie z powodu potwornej zbrodni, dokonanej na odradzającej się Rzeczypospolitej przez połączonych a tak bliskich despotów europejskich, przy dzielnej pomocy tych żywiołów kontrrewolucyjnych, które Mehring ma za wyraz „postępu historycznego.“

Skok, jaki robi Mehring od niezawisłej jeszcze Rzeczypospolitej do Królestwa Kongresowego, zdradzał by tylko jego absolutną niewiedzę o najburzliwszych może latach życia polskiego, o narodzeniu się i zmężnieniu demokratycznej myśli polskiej, ale połączony jest ten skok z takiem salto mortale logicznem, że odrazu stawia w najujemniejszem świetle wszystkie jego dalsze „postulaty“ polityczne.

Okazuje się, że ów „postęp historyczny“, którego nie mogli wcielić w życie zdrajcy-targowiczanie, natrafiwszy na opór ze strony szlacheckiej Polski, dokonany został przez dobroczynny rząd rosyjski. Rząd ten w przezorności swojej nadał podobno nowej Polsce konstytucyę, przystosowaną do nowoczesnego życia i w ten sposób umożliwił „ów rozstrzygający“ historyczny postęp, którego stara Polska nigdy zrobić nie mogła, mianowicie przejście do „rękodzielnictwa, do rozwoju przemysłowego.“ „Rząd rosyjski zastosowywał do przyspieszenia rozwoju przemysłu polskiego te same środki, do których uciekały się dawniej rządy krajów zachodnio-europejskich.“ A więc sprowadzano osadników niemieckich, udzielano im w celach przemysłowych rozmaitych ulg, ustanowiono stały ro-

czny fundusz przemysłowy, powołano do życia nowe gałęzie produkcyi, założono wzorowy Bank Polski, Towarzystwo kredytowe ziemskie i t. d. i t. d. A to wszystko, jak nas poucza Mehring, robił rząd carski, recte car (boć tylko on jeden miał, jako król polski, coś wspólnego z narodem polskim, mającym się rządzić liberalną konstytucyą, w której tenże car tyle jeno zawinił, że ją po wielu targach raczył podpisać).

Nierozsądnie jednak byłoby brać te brednie seryo, oczywista bowiem, że Mehring pojęcia nie ma o tych okropnych walkach, jakie społeczeństwo musiało staczać z carem i jego przedstawicielami w Królestwie o tę konstytucyę, za którą tak nieoględnie wyraża caratowi uznanie, a którą organy caratu niemiłosiernie paczyły i gwałciły od pierwszego dnia. Gospodarka wielkiego księcia Konstantego, komisarza carskiego – Nowosilcowa, cenzora Szaniawskiego i wynikła skutkiem tego znakomicie zorganizowana opozycya sejmowa a wreszcie spiskowanie najlepszych odłamów społeczeństwa – wszystko to, łącznie z powstaniem listopadowem, późniejszym rozkwitem rewolucyjnego romantyzmu i tak niezwykle entuzyastycznem roznieceniem w ziemiach polskich idej demokratycznych aż do utopijnego socyalizmu, stanowi dla Mehringa kompletną tajemnicę.

Bo i na cóż to się mogło zdać „materyaliście dziejowemu“ Mehringowego pokroju, skoro jemu szło tylko o wypisanie z broszury pani R. Luksemburg kilku dat statystycznych, mających udowodnić, że rozwój przemysłu w Królestwie jest ściśle związany ze zniesieniem granicy celnej między Królestwem a Rosyą? N.B., Mehring wcale nie wie, że zniesienie tej granicy uskutecznione było jeszcze przed powstaniem 1863 r.

Psychologia społeczeństwa, rwącego się do wszechstronnego rozwoju swojej kultury, jego nie interesuje, rozpaczliwe walki, które naród staczał z barbarzyńskim uciskiem, bez względu na zapadanie się z trudem wznoszonych rusztowań rozwoju ekonomicznego, jego nie wzruszają. Dba on wyłącznie o to, by być w zgodzie z swoim i pani Luksemburg szablonem i módz jednym tchem wyrecytować bezsensowne zdanie, że ruch 1863 r. był ostatnią próbą uratowania szlacheckiej przeszłości, i że, kiedy ruch ten zakończył się porażką, znikły ostatnie przeszkody „do wstąpienia na tron burżuazyi“.

A co potem się stało? Potem, burżuazya polska, która żyła jedynie myślą rzucenia się w objęcia bratniej sobie klasie w Rosyi i omdlewała z wdzięczności do rządu rosyjskiego (chyba za dobrodziejstwa Murawiewów, Gorczakowów, Bergów i t d., odczuwane może więcej przez mieszczan, niż przez szlachtę), postanowiła za jakąbądź cenę rozwinąć w Polsce „das Banner der bedingungslosen Russenfreundschaft“, co przetłomaczyć się da tylko przez „sztandar moskalofilstwa“. Obawiając się jednak na razie zbyt żywych jeszcze tradycyj patryotycznych, ukryła podobno ta burżuazya swój sztandar w „programie pracy narodowej“ (?). Pod tymi wyrazami, jeżeli domyślać się można, pojmuje Mehring program pozytywistów warszawskich. Otóż początkowo burżuazya okłamywała społeczeństwo polskie, udając patryotyzm; ale następnie, kiedy już biedna Rosya była zawojowana przez przemysł polski, i kiedy skutkiem tego burżuazya polska zupełnie się połączyła z rosyjską, a szlachta polska nie dając się ubiedz burżuazyi całkowicie „zasymilowała się“ ze szlachtą rosyjską, to wreszcie „agitacya narodowa“ zupełnie znikła i „pędzi teraz marny żywot zaledwie śród pewnej części inteligencyi i drobnomieszczaństwa“. Jakgdyby uprzedzając pytanie czytelnika co do innych zaborów Mehring go upewnia, że i w Galicyi i w Poznańskiem pomimo odmien

nych warunków politycznych i społecznych, stało się to samo: „W ten sposób klasy panujące dawnej Polski we wszystkich trzech państwach zaborczych zasymilowały się z klasami panującemi tych państw.“

Jakąkolwiek krytykę tych gołosłownych i wprost komicznych w swojej nieprawdzie twierdzeń uważamy za zbyteczną.

A jednak Mehring z trójnoga swojej urojonej mądrości historycznej ośmiela się. po bezpodstawnem skonstatowaniu rzekomego zaniku idei niepodległości w narodzie polskim, taki oto wyrzec wniosek z własnych wysnuty niedorzeczności a zawierający przejrzystą aluzyę do naszego programu: „Jeżeli zaś reakcyjna ta utopia wypływa jeszcze czasem na wierzch, w celu przychylenia do agitacyi proletaryackiej tych warstw inteligencyi i drobnomieszczaństwa, śród których agitacya narodowa znajduje dotąd pewien oddźwięk, to jest ona podwójnie skazana na zagładę, jako płód owego niegodnego oportunizmu, który dla błahych i tanich powodzeń chwilowych poświęca trwałe interesy klasy robotniczej.“

Nawoływanie robotników polskich do walczenia ręka w rękę z towarzyszami klasowymi innych narodów, którem Mehring kończy swój artykuł, byłoby w każdym wypadku słuszne, jako wypływ międzynarodowego charakteru socyalizmu; w tem jednak zestawieniu, w jakiem znajduje się u Mehringa, urąga tylko samoistności narodowej proletaryatu polskiego. bo „walczyć ręka w rękę“ znaczy to po mehringowsku „zasymilować się“, t. j. wyrzec się swojej odrębności narodowej. swoich dążeń kulturalnych i wogóle swojej własnej przyszłości.

Dlatego właśnie nie rozumiemy. co znaczy doczepione do tego nawołania zapewnienie, że odrodzenie Polski możliwe jest tylko drogą rewolucyi socyalnej. Po co miała by się Polska odradzać, po co zresztą proletaryat polski miał by przewidywać i ten jeszcze skutek socyalizmu, skoro klasy posiadające w Polsce już się „zasymilowały“, t. j. wynarodowiły, a obowiązkiem klasy robotniczej jest uczynić to samo jaknajprędzej, i skoro agitacya za niepodległością narodową jest „utopią reakcyjną“?

Na pytanie to ani Mehring, ani nawet jego mistrzyni pani Róża Luksemburg nigdy nie uważają za potrzebne wyraźnie odpowiedzieć. Pośrednią jednak odpowiedź na to znajdujemy w uprawianej przez nich krytyce poglądów redakcyi „Neue Rheinische Zeitung“. Niezgoda pomiędzy zwolennikami „organicznego wcielenia“ albo „asymilacyi“ a Marksem i Engelsem dotyczy nietylko praktycznych postulatów. które, jako postawione w r. 1848, naturalnie nie mogły pozostać dotąd niewzruszonemi. Niezgoda ta sięga znacznie głębiej. Wbrew twórcom nowoczesnego socyalizmu i wogóle wbrew zasadom socyalistycznym, Mehring. Róża Luksemburg et consortes uznają tylko narody zwycięskie, narody zaś ujarzmione są dla nich jedynie zlepkiem poszczególnych klas, z których specyalnie klasie robotniczej poczytują za zbrodnię przyznanie się do wspólności narodowej z klasami posiadającemi. Czują oni wszakże, że ich własny, osobliwy „socyalizm“. tak dobitnie uznający granice oznaczone przez zaborców, zawiera w sobie jakąś dziką sprzeczność, i stąd pochodzą ich do niczego nie obowiązujące frazesy, że w przyszłości będzie lepiej.

Ruch socyalistyczny jest w ich pojmowaniu jakimś oderwanym od życia narodów, od zadań kultury, od psychologii tłumów, od dążeń wreszcie etycznych, pochodem ekonomicznym wydziedziczonych przeciwko posiadaczom. Zapominają oni, że to jest tylko j e d e n z istotniejszych pierwiastków naszej wszechogarniającej idei, że po za nim rewolucyonizm socyalizmu, jako religii wyzwolenia ludzkości i człowieka, zwraca się prze-

ciw wszelakim formom ucisku i nieprawości, a w jednym z najpierwszych rzędów przeciwko ujarzmieniu narodów.

Dążenie do niepodległości narodowej tak samo, jak dążenie do ustroju demokratycznego nie tylko nie może przeczyć socyalizmowi, ale jest wprost conditio sine qua non wolnościowych tendencyj socyalistycznych.

Flis.

Z KRAJU I O KRAJU.

W sprawie „przedstawicieli". Do powodzian. Założenie kamienia węgielnego pomnika Katarzyny II. Zabawy na Zwierzyńcu. Strejk w Ostrowcu.

Rząd carski postanowił obdarzyć robotników nową „reformą", polegającą na tem, że zarządy fabryczne, za zgodą inspektora fabrycznego i gubernatora mogą pozwalać robotnikom wybierać z pośród siebie przedstawicieli, którzy mają pośredniczyć między robotnikami a zarządem fabrycznym i władzą. Z powodu ogłoszenia tej „reformy" centralny komitet robotniczy P. P. S. wydał następującą odezwę, rozpowszechnioną w całym kraju w 10.000 egzemplarzy:

Towarzysze i Towarzyszki!

Rząd carski szuka ciągle sposobów, żeby robotników oszukać, żeby ich z drogi walki rewolucyjnej sprowadzić na manowce.

Jednym z takich sposobów jest nowe prawo o przedstawicielach robotniczych.

Rząd carski boi się strejków. Chciałby on wydrzeć z rąk naszych tę broń, którą walczymy o polepszenie sobie bytu. Ale zakaz strejkowania nie pomaga, nie pomagają te wszystkie nikczemne środki, którymi tyrański rząd gnębi strejkujących. Robotnicy mimo to strejkują, walka z kapitalistami szerzy się i potężnieje. Widząc to, rząd wymyślił owych przedstawicieli, którzy mają pośredniczyć między robotnikami a kapitalistami carskimi. Przez tych pośredników mamy zanosić swoje skargi i przez nich dowiadywać się, co wyzyskiwacze i pachołki rządowe raczyli odpowiedzieć. Rząd chce, żebyśmy nie walczyli, tylko porozumiewali się z naszymi wrogami. Rząd łaskawie pozwala nam się skarżyć i prosić, zabrania żądać i walczyć. Ale my wiemy, że na nic skargi i prośby, na nic porozumiewanie się, że tylko energią zbiorowej walki można coś wskórać. Precz więc z takiem pośrednictwem, które tylko osłabić może walkę strejkową!

Ale nowe prawo jest złe i szkodliwe jeszcze z innych powodów. Rząd wprawdzie mówi o przedstawicielach robotniczych, ale to nic innego, jak kpiny! Robotnicy wybierać mają tylko kandydatów, dopiero z tych kandydatów zarząd fabryki mianuje przedstawicieli. Gubernator każdej chwili może usunąć tych przedstawicieli, którzy mu się nie spodobają. Wyborami kieruje zarząd fabryki, kieruje, jak mu się żywnie podoba, bo całą tę sprawę rząd powierzył kapitalistom. Co za pośmiewisko, towarzysze! Wybierać mamy przedstawicieli swoich interesów, ale — całe te wybory będą w rękach kapitalistów. Kapitaliści będą nam dyktowali, gdzie, kiedy, jak

i kogo mamy wybierać. Rząd chce, żebyśmy do wyborów szli nie jak wolni, świadomi ludzie. ale jak stado owiec pod batem pastucha. Precz z takimi wyborami!

A jakąż rolę będą odgrywali nasi „przedstawiciele"? Kapitaliści i rząd będą się starali zrobić z nich swoje ślepe narzędzia. Jeżeli „przedstawiciele" okażą się ludźmi uczciwymi i świadomymi, to napewno zaraz stracą zajęcie albo i do więzienia powędrują. Ale z takich oszukańczych wyborów najczęściej wychodziliby oszukańczy przedstawiciele, niegodni naszego zaufania! Będą oni zausznikami kapitalistów i majstrów, będą nam kamienie pod nogi rzucali. A rząd postara się z nich zrobić poprostu swoich szpiclów. będzie ich uważał za bezpłatnych urzędników policyjnych, którzy mają pilnować „porządku" w fabryce, wydawać w ręce policyi „buntowników"! Precz z takiem haniebnem przedstawicielstwem, które ma się stać nowego rodzaju szpiclowstwem!

Nowe prawo pozwala robotnikom urządzać narady pod kierunkiem przedstawicieli. Ale co warte takie narady, które będą się odbywały pod okiem kapitalistów i czynowników?! Toż to będą narady więźniów pod okiem dozorców! Przytem nie będą to narady robotników całej fabryki; według nowego prawa, kapitaliści mają podzielić robotników na grupy, i tylko pojedyńcze grupy mogą się zbierać na narady. Rząd nie chce solidarności ogólno-robotniczej, pragnie on podzielić robotników na jaknajwięcej grup, któreby żadnych ze sobą nie miały stosunków. Precz z takiemi naradami, gdzie niema wolności słowa i gdzie solidarność ogólno-robotnicza jest rozbita!

Towarzyszki i towarzysze! Widzicie, jak haniebnem jest to nowe prawo, którem rząd chce was oszukać. Dajcie rządowi godną was odpowiedź!

Nie wybierajcie nigdzie przedstawicieli!

Z pogardą odrzućcie ten nowy wymysł rządowy!

Rząd chce was oszukać – nie dajcie się oszukać. Zato z tem większą energią prowadźcie dalej świętą walkę o swoje prawa. o dobrobyt, oświatę, wolność polityczną i niepodległość narodową!

Niech żyje sprawa robotnicza!

Niech żyje socyalizm!

Warszawa, we wrześniu 1903 r.

Centralny Komitet Robotniczy Polskiej Partyi Socyalistycznej.

W okolicach, dotkniętych przez powódź, została rozpowszechniona następująca odezwa P. P. S.:

Towarzysze!

Straszna klęska nawiedziła kraj nasz. Woda zalała ogromne przestrzenie, zniszczyła bezlitośnie owoce krwawej pracy ludu roboczego. Zmarnowało się dobytku naszego za dziesiątki milionów rubli. Wiele tysięcy gospodarzy straciło cały swój majątek, wiele tysięcy robotników chodzi bez zajęcia, bez środków do życia. Jak gdyby nie dość było tej zwykłej, codziennej nędzy, co się z nami pokumała i nigdy nas nie odstępuje, jeszcze przyszła ta klęska okropna! Rozpacz i zgroza idzie po kraju... Głód zagląda w oczy... Czają się przeróżne choroby, żeby się rzucić na wynędzniałe ciała ludzkie...

W dalszym ciągu odezwa tłómaczy, że gospodarka rabunkowa caratu najezdniczego winna, iż klęska przybrała takie olbrzymie rozmiary...

Carat nie dba o zaspokojenie najpilniejszych naszych potrzeb. pienędzy bierze co niemiara, ale co z niemi robi? Nasz krwawy grosz podatkowy idzie na wojsko, na policyę i żandarmów, na moskwiczenie, na zbytki i rozpusty! Pieniądze idą na rzeczy złe i głupie – na pożyteczne i dobre cele niema środków! Niema ich też na obronę od powodzi.

Następnie odezwa rozwodzi się nad „pomocą“ rządową i wykazuje całą jej niedostateczność. W końcu powiada:

„Nie dajcie się, towarzysze, omamić! Nie wierzcie zapewnieniom czynowników, że rząd coś dla was zrobi. Czynownicy nagryzmolą raporty, pokradną zapewne swoim zwyczajem część pieniędzy, uzbieranych ze składek na powodzian – i to będzie cała ich pomoc. Powodzianie, nie rachujcie na niczyją łaskę, nie zadawalniajcie się nędzną jałmużną! Jedyna nadzieja wasza, jedyny ratunek, to śmiała obrona swoich praw.

Dobytek wasz zniszczony - nie płaćcie więc rządowi podatków!

Z winy rządu ponieśliście ogromne straty, domagajcie się więc, żeby rząd całkowicie wynagrodził wam z pieniędzy skarbowych poniesione straty.

Robotnicy, którzyście stracili zajęcie skutkiem powodzi, domagajcie się również, żeby rząd dał wam odszkodowanie za cały czas przymusowego bezrobocia!

Towarzysze! Ta straszna klęska powodzi nie powinna budzić w was przygnębienia, nie powinniście wyrzekać na los, ani czekać od nikogo zmiłowania. Powódź, jest to jeden jeszcze przykład, jak zgubną dla was jest gospodarka caratu. Dalej więc do walki o swoje prawa, do walki z potwornym rządem! A walka ta skończy się dopiero wtedy, gdy najazd przepędzimy, pozbędziemy się wyzysku i ucisku, gdy w kraju naszym lud pracujący sam gospodarować będzie.

Niech żyje wolny polski lud!

Precz z gospodarką najezdnika!“

Z powodu założenia kamienia węgielnego pod pomnik Katarzyny II mający razem z pomnikiem Murawiewa i Puszkina, nadać Wilnu „istinno russkij charaktier“, miejscowy komitet robotniczy P. P. S. rozpowszechnił następującą odezwę:

Towarzysze i towarzyszki!

Po Murawiewie – Katarzyna. Po pomniku kata, wyzutego z uczuć ludzkich, wieszatiela, dla którego mord był rozkoszą - pomnik nierządnicy, która świat zdumiewała rozpustą, Rosyę bogaciła kradzieżą cudzych ziem.

Oto komu najazd stawia pomniki, oto bohaterowie caratu! Innych bohaterów carat mieć nie może - jego zbrodnicza, nikczemna polityka wymaga zbrodniczych, nikczemnych działaczów - takich jak Murawiew, takich jak Katarzyna.

Carat stawia im pomniki na naszej ziemi, aby pokazać, że on tu panem, że Litwa, ukradziona przez Katarzynę, krwią zalana przez Murawiewa, to jego łup, którego z rąk nie wypuści. Te pomniki mają świadczyć o moskiewskiem panowaniu – o naszej niewoli, naszych cierpieniach!

Bo panowanie to nic nam nie dało prócz niewoli, nędzy, ciemnoty, poniżenia. Kraj ubogi, wyniszczony. Nędza na wsi, nędza w mieście. Życie publiczne zduszone, oświata stłumiona. Język polski wygnany zewsząd, skąd go najazd mógł wygnać, literatura litewska zakazana. Szkoły – o ile są – są rozsadnikiem najgorszej ciemnoty i najwstrętniejszego carosławia. Religia katolicka prześladowana, prawosławie gorliwie popierane i rozpanoszone. Najrozmaitsze prawa wyjątkowe krępują ludność na każdym kroku. Wszędzie rządzą, puszą się swoją władzą czynownicy-przybłędy. którzy zlecieli się na kraj, niby kruki na żerowisko. Rządy policyjne srożą się coraz bardziej. Despotyczny najazd cięży, niby wieko trnmny, nad całym krajem. nad całą ludnością; a jednocześnie carat szczuje na siebie wzajemnie różne części tej ludności, stara się wykopać przepaść między Litwinami i Polakami, między chrześcianami a żydami. W ten sposób jeszcze bardziej przyczynia się do zacofania kraju.

Oto jaki jest dziś stan Litwy po tylu latach panowania moskiewskiego. Oto dzieło, któremu początek dała Katarzyna-nierządnica.

Lud pracujący położy kres temu szatańskiemu dziełu – jego zadaniem jest wydobyć siebie, wydobyć kraj cały z tego stanu niedoli i poniżenia. Runą pomniki despotyzmu, pomniki katów i nierządnic carskich. W samej Rosyi wzrasta potężnie ruch robo.niczy, który podmywa tron tyrana. Proletaryat Polski i Litwy nie ustanie w walce, póki nie przepędzi najazdu, nie zdobędzie niepodległej republiki robotniczej.

Przyjdzie dzień pomsty. dzień naszego zwycięstwa!

Niech żyje wolność!

Wilno, dnia 7 września 1903.

Wileński Komitet Robotniczy Polskiej Partyi Socyalistycznej.

Od pewnego czasu wileńskie kuratoryum trzeźwości urządza w lesie na Zwierzyńcu „zabawy ludowe“. Z tego powodu wileński komitet robotniczy P. P. S. wydał odezwę do ogółu robotników i robotnic miejscowych. Odezwa tłómaczy, w jakim celu zostały przez rząd wprowadzone kuratorya trzeźwości. Odezwa kończy się tak:

„Nam nie zabaw potrzeba!

My wiemy, że ilekroć chcemy byt swój poprawić w walce z wyzyskiwaczami-majstrami i fabrykantami, rząd ten jak zmora siada nam na piersi, kwiat naszej młodzieży trzyma po więzieniach, szle na Sybir.

Rząd ten gnębi nas podatkami, by miał czem opłacać sforę urzędników-psów, którzy nas targają ze wszech stron. Rząd ten szerzy ciemnotę, zabrania się uczyć w ojczystym języku, siłą, nahajkami nawraca na prawosławie.

Wiemy, co to za gagatek i wiemy, czego się od niego spodziewać.

Nam nie zabaw potrzeba!

Wzywamy wszystkich, kto chce lepszej doli, do „tańca“, ale do takiego, w którym ostatnią figurę wywijać będziemy na trupie rządu carskiego i porządku kapitalistycznego!

Niech żyje niepodległość Litwy!

Niech żyje rewolucya socyalna!

Odezwa, rozpowszechniona masowo, spodobała się ogromnie szerokim masom robotniczym.

Dnia 23 sierpnia robotnicy, pracujący przy piecach Siemens-Martina w Ostrowcu, w Radomskiem, zażądali święta w niedzielę. Dotychczas (od lat 4, uprzednio mieli święto) pracowali na dwie zmiany, po 12 godzin. Święta mieli dwa razy na miesiąc, wypadały one zwykle w dzień powszedni. We wszystkie mniej i bardziej uroczyste święta pracowano również. Dnia 22 sierpnia robotnicy uprzedzili zarząd fabryki o swojem żądaniu i zagrozili opuszczeniem pracy, gdyby zarząd nie zgodził się na ich żądanie. Uprzedzenie zarządu miało na celu zapobieżenie stratom, któreby fabryka poniosła, gdyby porzucono pracę bez przygotowania się fabryki do tej ewentualności.

Zarząd fabryki na żądanie robotników odpowiedział depeszą do gubernatora radomskiego i inspektora górniczego. Strejk rozpoczął się o godzinie 6 rano. Przyjechał gubernator Szczyrowskij i inspektor. Gubernator rozpoczął swą działalność od zatelegrafowania po wojsko i sprowadzenia do Ostrowca pięciuset kozaków. Potem wydał dwa ogłoszenia. W pierwszem z nich oświadcza, że robotnik, jeżeli ma jakie pretensye do administracyi fabrycznej, to niech się udaje do okręgowego inżyniera górniczego. Jednocześnie przypomina robotnikom, że strejkować nie wolno i że strejkujący mogą być zesłani. W drugiem namawia robotników do pracy w święta.

Z powodu tych ogłoszeń Ostrowiecki Komitet Robotniczy P. P. S. rozpowszechnił odezwę, nawołującą strejkujących do solidarności. Odezwa powiada:

> „Towarzysze robotnicy! Na te dwa ogłoszenia stupajki carskiego nie trzeba zważać; trzeba stanąć do walki solidarnie i albo niech się administracya zgodzi na Wasze żądania, albo zgodnie porzućcie pracę. Dosyć wyzysku! Dosyć nędzy i głodu!
>
> Towarzysze! Niech nie straszą nas wygnaniem do dalekich gubernij, bo i tam są nasi towarzysze-robotnicy Rosyanie. I oni razem z nami walczą przeciwko naszym wspólnym wrogom: rządowi i kapitalistom.
>
> Towarzysze, precz z Kosińskim (dyrektorem), za bramę z nim!
>
> Do walki, Towarzysze!
>
> Niech żyje solidarność!“

Jednocześnie gubernator wezwał robotników na rozmowę. Naturalnie nie była to rozmowa, lecz stek gróźb ze strony gubernatora, na które robotnicy odpowiadali chórem: „święta!“ Gdy się im to w końcu sprzykrzyło, rozległy się głosy: „paszoł won!“ pod adresem gubernatora.

Gubernator oburzyl się na to i krzyknął po rosyjsku:

— Wy mnie chyba nie znacie, jestem gubernatorem.

— Won, carski psie, do budy, nie znamy cię i znać nie chcemy!

Zlękły się różne mniejsze pieski, jak naczelnik powiatu i t. d., zaczęły przekładać, że to generał, że to gubernator, figura, której nie wolno obrażać. Kpiny naturalnie były odpowiedzią na te perswazye. Wkońcu gubernator, posłyszawszy propozycyę — o ile brzydką, o tyle też trudną do wykonania, ze względu na 4000-czny tłum — znikł. „Rozmowa“ więc nie dała rezultatów.

Po niemiłem doświadczeniu gubernator nie chciał już rozmawiać z tłumem i zaproponował wybór delegatów. Robotnicy początkowo nie chcieli się zgodzić, lecz gdy Szczyrowskij dał kilkakrotnie słowo honoru i zaklinał się, że nic im się nie stanie, uwierzyli mu i wybrali sześciu delegatów (których, naturalnie, później uwięziono).

I pertraktacye z delegatami nie doprowadziły do niczego. Gubernator groził Sybirem, kozą i t. d., delegaci na wszystko odpowiadali: „święto!“.

W niedzielę 23 wieczorem nocna zmiana poszła naturalnie do pracy i w ciągu tygodnia robota szła zwyczajnym trybem. We wtorek przyjechało wojsko, a we środę rozpoczęły się aresztowania, które trwały bez przerwy do niedzieli 30 sierpnia, a nawet do 2 września. Aresztowano około 250 osób. Wysłano je do Radomia, na Święty Krzyż, do Sandomierza. Reszta robotników nie upadła jednak na duchu.

30 sierpnia rano o godz. 6 porzucili znowu pracę robotnicy oddziału Martenowskiego, na co administracya odpowiedziała w poniedziałek wydaleniem całego oddziału. Wówczas wszystkie oddziały zaczęły wychodzić z fabryki. Niestety, znalazł się łamistrejk, który swoją przemową potrafił jeden oddział odwieść od opuszczenia fabryki, a ponieważ oddział ten miał dać hasło do porzucenia pracy innym, więc i przy wielkich piecach nie przestano pracować. W ciągu poniedziałku więc trwał strejk częściowy. Aresztowania nie ustawały.

Wieczorem w poniedziałek gubernator wydał odezwę z groźbami i z wezwaniem, aby ci robotnicy, którzy mają jakieś pretensye, zgromadzili się we wtorek o 2 po południu. Ci przyszli i znowu posłyszeli groźby. Wkońcu robotnicy oświadczyli, że „zdają się na dyrektora“. Ten obiecał im, że w niedzielę zamiast wszystkich, pójdzie tylko jeden piec. Robotnicy zadowolnili się tem.

Strejk więc skończył się częściowem zwycięstwem. Jeśli weźmiemy pod uwagę to, że wielkie strejki, t. j. takie, w których bierze udział kilka tysięcy ludzi — nigdy się prawie u nas nie udają ze względu na teroryzm władz rządowych, to i takie zakończenie coś warte. Wojsko zachowywało się, jak zwykle, prowokacyjnie, usiłując doprowadzić do utopienia całego ruchu we krwi robotniczej. Tylko dzięki taktowi robotników nie doszło do krwawego starcia. Aresztowanych jeszcze dotychczas nie wypuszczono.

BIBLIOGRAFIA.

Quousque Tandem. W sprawie etycznej socyalizmu polskiego. Do ogółu socyalistów polskich. Stron 14.

Gorąco polecamy tę broszurkę wszystkim naszym zwolennikom, a zwłaszcza przeciwnikom *). Znajdą oni w niej sporo materyału do charakterystyki poziomu etycznego jej autorki. Od czasu słynnego utworu „Pod bat opinii publicznej“ (dodatek do smutnej pamięci paryskiej „Sprawy Robotniczej“) nikomu nie udało się jeszcze nagromadzić na kilkunastu stronicach tylu tak dosadnych i „soczystych“ wymyślań. Czego tu niema! I „zakulisowe knowania przedświtowskiej grupy“ i „podjudzania nacyonalistyczne“, i „sromotne dzieje socyalpatryotyzmu“, i „kompania oszczerstw“, i „niegodne postępowanie“, i „nacyonalistyczna chimera“,

*) Otrzymać ją można u p. St. Gutta, Zurych, Cullmanstr. 8/III.

i „kilku intrygantów“, i „bezkarne oszukiwanie opinii publicznej“, i „war, pluśnięty na robactwo“, i „pajęczyna nonsensów i blagi“, i „rzezimieszki“, i „czelność“, i „ruchy i łamańce robaka, wetkniętego na szpilkę“, i „opryszki polityczne“, i „systematyczna dziesięcioletnia kampania za pomocą najbrudniejszych oszczerstw“, i „miazmaty przedświtowskiej zgnilizny moralnej“, i ironia, i patos, i żółć, i ślina... A wszystko w celu pomszczenia się za to, że sprytna sztuczka się nie udała, że proletaryat polski w zaborze pruskim nie wyrzekł się dążenia do niepodległości Polski. Rozumiemy, że nieudanie się tej sztuczki mogło być dla jej autorki bardzo przykre i nawet bolesne, zwłaszcza, że musiało pociągnąć za sobą smutne ale nieuniknione urzędowe skonstatowanie faktu posiadania aż... 37 zwolenników w zaborze pruskim, wraz z całemi Niemcami, jakoteż Europą Zachodnią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej oraz Brazylią i Argentyną. Nie rozumiemy tylko, jak pomiędzy 37 zwolennikami pani Róży Luxemburg nie znalazł się ani jeden człowiek, któryby jej wytłómaczył, że rzeczy w rodzaju broszurki niniejszej, jeśli komu mogą zaszkodzić, to tylko jej autorce i wydawcom — zwłaszcza teraz, po kongresie drezdeńskim. *O.*

WYDAWNICTWA POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ*).

Kuryerek Zakordonowy i Zagraniczny Nr. 8. Sierpień, 1903. Rok III. Londyn.

Treść: Zabór austryacki — zmiana parlamentu austryackiego, walka o równe prawo, powódź, w obronie Galicyi, wiec i strejki chłopskie, inne strejki, lasek „Proletaryat“, powrót Mańkowskiego. w usługach Rosyi, Głos lekarzy. Zabór pruski — kultura pruska a lud pracujący, miły księżulek, echa wyborów, prześladowania, strejki, powódź w zaborze pruskim. Carstwo rosyjskie — strejki na południu. Niemcy — sprawozdanie partyjne. Włochy — śmierć papieża. Holandya — wybory gminne. Hiszpania — stan partyi socyalistycznej.

Der Arbajter. Nr. 8. Październik, 1903.

Treść: Od Redakcyi. Nowa taktyka rządu rosyjskiego. Nowa intryga rządu rosyjskiego. Ruch robotniczy w Rosyi. Pierwsza konferencya żydowska P. P. S. Pomnik Katarzyny II w Wilnie. Nasze wydawnictwa białoruskie. Wierzę (poezya).

* * *

W. Bracke. Precz z socyalistami! Wydanie 3-cie. Londyn, 1904; str. 23.

Ferdynand Lassalle. Z polskiego przerobił I. Hartman. Londyn, 1804, str. 36.

* * *

Odezwa C. K. R. P. P. S. do powodzian. Warszawa, w sierpniu 1903 (W drukarni krajowej).

Odezwa Wileńskiego K. R. P. P. S. z powodu „zabaw ludowych“ na Zwierzyńcu. Wilno, w sierpniu 1903 (w drukarni krajowej).

Odezwa Ostrowieckiego K. R. P. P. S, do strejkujących z zakładów fabrycznych ostrowieckich, 26 sierpnia (litografowana).

*) Od czasu wyjścia poprzedniego N-ru „Przedświtu“.

Odezwa C. K. R. P. P. S. z powodu prawa o „przedstawicielach". Warszawa, we wrześniu 1903 (w drukarni krajowej).

Odezwa Wileńskiego K. R. P. P. S. z powodu pomnika Katarzyny II. Wilno, 7 września (w drukarni krajowej).

LUŹNE NOTATKI.

Tow. Ledebour odczytał kongresowi drezdeńskiemu urzędowy komunikat poznańskiej komisyi rewizyjnej, stwierdzający, że organ grupki Kasprzak-Luxemburg-Gogowsky – poznańska „Gazeta Ludowa" posiada 37 płatnych abonentów. Sromotny to koniec blagi socyalhakatystycznej!

* * *

Niedawno w Petersburgu zakończyła swe czynności komisya przy ministerstwie spraw wewnętrznych, mająca opracować projekt środków ochronnych przed napływem do Rosyi zagranicznych wydawnictw rewolucyjnych. W obradach brali też udział żandarmi z różnych pogranicznych miejscowości w Królestwie. Powzięto pomiędzy innemi uchwałę, iż należy asygnować do dyspozycyi żandarmeryi pogranicznej kilkadziesiąt tysięcy rubli na utrzymywanie wzdłuż kordonu agentów wśród ludności miejscowej.

SPROSTOWANIE.

Z powodu niedopatrzenia drukarni druga korekta arkusza 2-go nie została dokonana, wskutek czego pozostały tam błędy drukarskie niepoprawione. Prostujemy niniejszem najważniejszy: Na str. 381 w. 26 z góry zamiast „i z Madziarów" ma być (u Madziarów... antysemityzm)...

POKWITOWANIA KOMITETU ZAGRANICZNEGO P. P. S.

za czas od 15 lipca do 7 października 1903.

Na fundusz partyjny: Opłaty członkowskie: S. a. II – 20 złr. 91/2 cent.; Londyn: J. D. – 6 sh., Oddział – 1 f. szterl. 1 sh.; Zurych – 59 fr.; A. T. 12 złr. Chicagoski Związek Pomocy P. P. S. 2 dol. 50 ct., Fr. Wiśniowiecki – 1 dol.

Wkładki nadzwyczajne: Londyn: sekcya żydowska na wydaw. żargonowe – 5 f. szterl., 18 sh. 3 d., zebrane w klubie – 10 sh. 2 d., H. Feuer: na f. part. – 18 sh. i na wyd. żargonowe – 2 sh. 61/2 d. P. przegrany zakład – 1 sh. 6 d.. West. na druk. Arbajtera – 2 sh. 6 d.; Al. Wroński – 10 f. szterl. 8 str.; Z Ukrainy – 10 rubli; Kraków L. na ośw. L. pr. Nr. 50 – 4 złr. 12 cet.; Genewa C. B. – 5 fr.; Zurych: na f. part. – 40 fr. 87 ct., przygodne – 50 cent., spekulacya – 14 fr., obiad i kapelusz – 10 fr.; Zakopane: L. na „Światło“ Nr. 9 – 1 złr. 30 cent.; L. na ośw. l. pr. Nr. 49 – 50 ct., L. na f. agit. – 10 złr.; Pullman Fr. Wiśn. – l. na f. ag. Nr. 57 – 2 dol.; Chicago: P. Skulski na agit. w starym kraju – 1 dol., Fr. Wiśniow. z gry w loteryjkę – 44 cent.; Leod. na ośw. l. pr.: N. K. – 15 fr. i W. – 1 fr.; Bern – lista czerwcowa – 70 centim.; Z wieczorku – 40 złr.: Ostenda na ośw. lud. – 25 fr. Londyn. B. Hersz. Niech żyje bury kot – 15 sh. Chicago – Na tajną drukarnię „Arbeitera“ zaboru rosyjskiego od członków Zw. Pomocy P. P. S.: Wiślicki – 1 dol., Mass – 1 dol. Fr. Wiśniowiecki 1 dol. Zebrane na pogrzebie żony tow. Hinkelmana na P. P. S. zaboru ros. 2 dol. 25 cen. Laconia N. H. lista Nr. 23 na oświatę ludu pracującego. I. Waycht 50 c.. P. Grubert 50 c., Pancygran 1 dol. Na obchodzie 10-lecia P. P. S. urządzonego przez Oddział im. J. Pietrusińskiego w Fall River Mass 3 dol. 10 cent. Leodyum F. S. za karty – 5 fr. 30 c.

Na fundusz zaboru pruskiego: Br. l. na f. wyb. Nr. 19 – 2 m. 16 f.; Chicago Fr. Wiśniowiecki L. na w. z g. Nr. 62 – 1 dol. 30 cent.; Lipsk l. na f. wyb. Nr. 5 – 25 m. 30 fen.; Genewa l. na f. pras. Nr. 43 – 25 fr.; Londyn J. Douglas T. na sekretaryat Nr. 139 – 2 sh.

Na żądanie kwitujemy: Od ob. Kalenbrunna, Tecława i S. Sadowskiego prenumerata „Przedświtu“ pol dol. Fr. Wiśniowiecki z rozprzedaży 100 kart korespondencyjnych po 3 ct. – 3 dol.; a conto długu za wydawnictwa 56 ct.

TREŚĆ: „Iskra" w kwestyi narodowościowej. Ze wspomnień wygnańca. Kryzys na Węgrzech. Marksista przeciwko Marksowi. Z kraju i o kraju. Bibliografia. Luźne notatki.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Tadeusz Bobrowski.